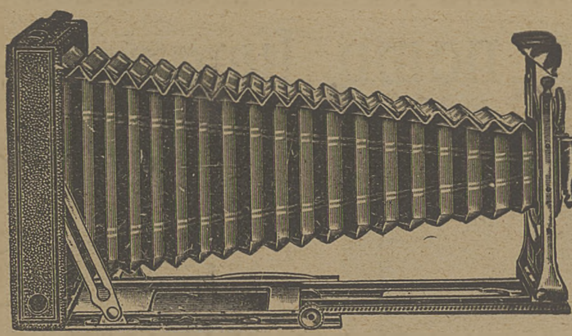


Fotografia 1910.

Na nadchodzący sezon polecam:

Aparaty fotograficzne

każdej wielkości w wielkim wyborze **po cenach oryginalnych fabrycznych.** Na życzenie dogodne warunki spłaty. Zaopatrzyłem się na sezon w najróżniejsze **aparaty** najnowszych konstrukcyi i jestem w stanie **wszelkim** wymaganiom pod **każdym względem** zadośćuczynić. **Wszelkich rad i wskazówek** na polu **fotograficznem** udzielam bezpłatnie.

:: Przybory fotograficzne ::

w bardzo wielkim wyborze tylko w najlepszych gatunkach.

Płyty, papiery i płyny fotograficzne

zawsze świeże, gdyż bardzo wielki odbyt. Wszelkie **prace fotograficzne** jak **wywoływanie, kopjowanie, powiększanie, retuszowanie i t. d.** wykonuję w mej pracowni szybko i bardzo starannie.

Pocztą przesłane płyty do wywoływania należy opakować w pudełkach **drewnianych**, gdyż w papowych polegają bardzo często stłuczeniu.

Ciemnice do dyspozycyi

od godziny 8 rano do godziny 8 wieczorem **bezpłatnie!**

Obszerne katalogi darmo w dom.

Dziękując najuprzejmiej za łaskawe dotychczasowe poparcie zapewniam Szan. Publiczność że jak dotąd tak i nadal usilnem staraniem mem będzie Szanowną Klientelę pod każdym względem zadowolnić. 81

Z wysokim szacunkiem

„CAMERA" Z. Śniegocki

Pierwszy i największy specyalny skład fotograficzny na W. Ks. Poznańskie

Poznań, Rycerska 37. Telefon 2359

Fotografowania wyuczam w przeciągu 2 godzin **darmo.**

Baczność!

Jedyny polski

zakład fotograficzny

w Poznaniu 76

w ręku fachowca.

J. STOLSKI

Poznań, ul. Szeroka 20 parter.

Telefon 790.

SPECYALNOŚĆ:

Portrety w wykonaniu artystycznem.

Chleb Ceres

nabyć można w każdym handlu wiktualnym.

Specyalność: 11

Wybornego smaku swojski śrótak.

Z dniem 1-go kwietnia r. b.
otwieram przy ulicy Wilhelmowskiej Nr. 19 II p.
vis-à-vis hotelu francuzkiego

pensyonat

dla uczennic tutejszych zakładów naukowych jako też dla panienek, uczących się prywatnie — osobno lub zbiorowo.

Panienki, pragnące dokończyć edukacyi, także i przychodnie, znajdą w domu naszym sposobność rozszerzenia wiedzy w zakresie języków, muzyki, śpiewu, jak w ogóle wszelkich przedmiotów, objętych planem szkolnym.

Francuzka dobra i rutynowana siła pedagogiczna w domu. — **Angielka** udziela lekcyi konwersacyi. — Na życzenie **kurs robót artystycznych.** — Dozór w naukach — opieka troskliwa — warunki dogodne.

Irena Suszczyńska 75

nauczycielka przy tutejszej wyższej szkole żeńskiej

Zgłosz. przyj. tymczasem ul. Posadowskiego 37 II p. najlepiej między 1 a 4 po poł.

Zakład dentystyczny

„Reform"

E. Karlewicz

Poznań, ul. Wrocławska 20

(przy placu Piotra.) 355

Wykonanie pierwszorzędne
Ceny nader umiarkowane.
Operacye zębów bez bólu.
Honoraryum według umowy.

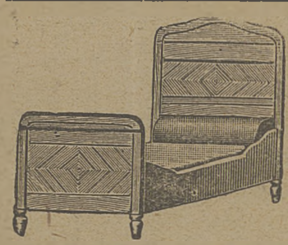
W. Palacz

POZNAŃ, UL. NOWA 11.

Zakład elektrotechniczny

dla 23

światła, siły, telefonów, dzwonków, gromochronów i wszelkich reperacyi.



Kanapy

garnitur plusz., materace, szezlągi i t. d. wyrabiane w własnej pracowni pod długoletnią gwarancyą li tylko z włókna indyjskiego.

Meble

szafy, szafki do bielizny, łóżka, stoły, krzesła, lustra itd. po rzeczywiście nizkich lecz stałych cenach poleca

Fr. Krzyżagórski

Poznań, św. Marcin 5/6, obok kościoła.

Wyprawy całkowite jaknajtaniej

Zasada: Większy obrót, mały zysk. 500

Usługa skora, towar rzetelny.

Kasa oszczędności

Banku Rolniczo-Przemysłowego

Kwilecki Potocki i Sp.

przyjmuje na oprocentowanie wkładki każdej wysokości od **1 marki** począwszy, płacąc od **3 do 4½ proc.** wedle umowy. 33

Dr. Maryan Kryzan

inżynier i rzecznik patentowy.

(Patenty, znaki ochronne itd.) 375

Poznań, ul. Rycerska 33. Telefon 2650

Meble

po jak najniższych cenach **li tylko rzetelny towar.**

W. Merkiewicz 177

Mistrz stolarski

W. Garbary 40

(narożnik Grobli.)

Przystanek kolejki elektr.

Do wynajęcia od 1. 10. 1910 78

lokale handlowe

w domu mającym być nowocześnie przebudowanym, w najlepszem położeniu miasta Poznania, przy ul. Wodnej 28 narożnik ul. Jezuickiej

w rogu Starego Rynku

nadające się na każde przedsiębiorstwo.

Bliższych szczegółów udzieli

W. Janaszek,

Poznań.

Zakład dentystyczny.

Praktykuje od r. 1889.

Wprawianie sztucznych zębów. Plomby.

Zatruwanie nerwów i leczenie chorych zębów. 507

J. Czerwinski

Poznań, św. Marcin 53.

Dom ogrodowy Ip.

Podgorna 6. Podgórna 6.

„Printemps"

Anna Przysiecka. 84

Magazyn eleganckich kapeluszy damskich

poleca swój bogato zaopatrzony skład

w nowości sezonowe i wszelkie artykuły

w zakres stroju wchodzące.

Modele paryskie na składzie.

Kapelusze żałobne, welony ślubne, boa z piór i t. d.

Odnowienie eszłorocznych kapeluszy uskutecznia się szybko i tanio podług modeli.

Zaproszenie do przedpłaty na nowy kwartał.



Niniejszy numer jest przedostatnim w bieżącym kwartale,
czas więc największy odnowić przedpłatę na nowy, drugi kwartał r. b. na poczcie, lub też u listowych, którzy przyjmują przedpłatę na „Pracę“ do dnia 25-go marca b. r.

Prosimy Szanownych Czytelników, aby nie tylko sami wcześnie odnowili przedpłatę na poczcie, ale aby byli łaskawi zachęcać do zapisywania „Pracy“ przyjaciół, sąsiadów i znajomych.

„Praca“ kosztuje na wszystkich pocztach 1,50 mk. z odnoszeniem do domu 1,62 mk. na kwartał.

W numerze dzisiejszym rozpoczęliśmy druk bardzo pięknej, nadzwyczaj zajmującej powieści p. t.

„Pałac i teatr“.

„Pałac i teatr“ będzie czytał każdy z nadzwyczajnem zainteresowaniem i oczekiwać będzie z wielką niecierpliwością od tygodnia do tygodnia dalszego ciągu tej rzeczywiście bardzo sensacyjnej i bardzo zajmującej powieści.

Kwit pocztowy na nowy kwartał zamieszczony jest poniżej.

Nowi abonenci otrzymaią początek powieści p. t. „PAŁAC i TEATR“ bezpłatnie za nadesłaniem znaczka pięciofenygowego na porto.

Numery okazowe wysyłamy na życzenie bezpłatnie i franko.

„Praca“ jest najtańszem, najpoczytniejszem i najobfitszem w treść pismem illustrowanem polskiem z wszystkich tygodników illustrowanych, wychodzących pod trzema zaborami.

Prosimy zażądać numerów okazowych i podawać je znajomym z zachętą do prenumeraty.

Prosimy odciąć i podać znajomym do prenumeraty!

Unterzeichneter abonniert hiermit bei dem Kaiserlichen Postamt für das II. Vierteljahr die in Posen erscheinende Wochenschrift

„Praca“

(Abteilung II. t. poln. Nr. 95 der Zeitungspreisliste)

für 1,50 M.

(Imię i nazwisko): ....

(Mieszkanie): ....

Obige 1,50 M. erhalten zu haben, bescheinigt

...., den .... 1910.

Kaiserl. Post..

Nr. 12. Poznań, dnia 20 marca 1910 r. Rok XV

Abonament wynosi kwartalnie na poczcie . . 1,50 z odnoszeniem do domu . . . . 1,62 pod opaską . . 2,75

PRACA

Adres Redakcyi: Poznań, ul. Rycerska Nr. 38 Telefon Nr. 97 Ogłoszenia: od wiersza drobnego 30 fen.

TYGODNIK POLITYCZNY I LITERACKI, ILLUSTROWANY.

Jeszcze kandydatura robotnicza.

W dyskusyi publicystycznej nad aktualną obecnie sprawą kandydatury robotniczej p. Nowickiego zaznaczono z pewnej strony, jakoby inteligencya była tej kandydaturze przeciwna. Nie dlatego, jakoby zasadniczo kandydaturę robotniczą odrzucała, lecz z tego powodu, ponieważ w proponowanym przez komitet wyborczy kandydacie nie może się dopatrzeć tych kwalifikacyj i specyalnych uzdolnień, jakich od kandydata na urząd poselski wymagaćby należało.

Słusznie tedy spodziewać się należało, że inteligencya, rzekomo przeciwna kandydaturze p. Nowickiego, skorzysta z licznie się odbywających zebrań przedwyborczych i tam uwydatni swe poglądy w tej sprawie. Tymczasem oczekiwania te zawiodły najzupełniej. Na dwóch ostatnich zebraniach przedwyborczych w okręgach, będących niejako domeną inteligencyi poznańskiej, inteligencya zgromadziła się licznie, lecz i tam opozycya przeciwko kandydaturze p. Nowickiego bynajmniej się nie uwydatniła. Stało się wręcz coś przeciwnego. Nie tylko, że nie zwalczano tam z kół inteligencyi tej kandydatury, lecz owszem z wielkim naciskiem oświadczano się za nią, podnosząc wysoko zdrową polityczną i społeczną ideę, z której ta kandydatura się zrodziła.

Jeżeli tedy dana była inteligencyi dostateczna sposobność wypowiedzenia się w tej mierze, a inteligencya skorzystała z niej w sposób dla kandydatury p. Nowickiego tyle pomyślny i pochlebny, przeto nikt sprawiedliwy nie może nadal podtrzymywać legendy, jakoby kandydatura ta stała w sprzeczności z istotnemi życzeniami inteligencyi naszej. Chyba żeby chciał inteligencyi uczynić zarzut, że obowiązku swego nie spełniła. Sądzimy bowiem, że w tak ważnej sprawie, jaką jest wybór przedstawiciela do parlamentu, każdy prawy obywatel ma obowiązek wystąpić ze swem zdaniem, jeżeli mniema, iż agitacya wynosi osobistość nieodpowiednią, lub forsuje wybór pod hasłem urągającem tym zasadom, które społeczeństwo za słuszne i zdrowe uważa. W takich sprawach nie można się powodować wygodną ustępliwością, kwietyzmem, który radzi nie narażać się i pociesza myślą, że jakoś to będzie.

Ponieważ mamy zaufanie do naszej inteligencyi, że w żywotnych dla społeczeństwa sprawach gotowa jest rzucić na szalę całą wagę swego wielkiego wpływu i ma odwagę walczyć za swe ideały, a w obecnym przypadku przez usta kilku wybitniejszych swych reprezentantów kandydaturę p. Nowickiego poparła, przeto nie przesadzimy, jeżeli damy wyraz przekonaniu, że kandydatura ta zgodę inteligencyi pozyskała. Czy także jej sympatyę? To inne pytanie. Niewątpliwie sympatyzuje z tą kandydaturą inteligencya demokratyczna. W szeregach reszty inteligencyi nie uwydatnia się niestety podobny zapał. I niewątpliwie nie brak takich osobników, którzy upadek tej kandydatury powitaliby z zadowoleniem. Rozumiemy to znakomicie. Są poglądy, których się wyrzec przychodzi bardzo trudno. Do tych należy stary aksyomat, że posłem winien być inteligent, że parlament nie jest miejscem dla robotnika. Jesteśmy też narodem próżnym nieco. Więc pochlebia nam, jeżeli obcy podziwiają wytwornie skrojone tużurki naszych oficyalnych przedstawicieli i z estetycznem zadowoleniem patrzą na wykwintne ich formy towarzyskie. Pod tym względem trudne robotnik będzie miał stanowisko. Lecz na szczęście nie w tem streszcza się całe zadanie posła. Jednakże z całej dotychczasowej akcyi przedwyborczej nie możemy się dopatrzeć zasadniczego przeciwstawienia się inteligencyi naszej tej kandydaturze. Nie życzą sobie jej w pewnych kołach — to prawda; lecz nigdzie to nieżyczenie nie jest tak silne, tak stanowcze, żeby się miało uwydatnić w jakiejś donioślejszej, zdecydowanej manifestacyi. To, że napisano kilka artykułów przeciwko tej kandydaturze, mało znaczy wobec absolutnego braku wszelkiej w tej mierze kontragitacyi na zebraniach przedwyborczych i to kontragitacyi wszczętej ze strony inteligencyi nb. A przekonani jesteśmy, że inteligencya nasza nie byłaby się zachowała biernie, gdyby była przekonana o szkodliwości tej kandydatury.

Co do nas to wyznać musimy, że nie spodziewaliśmy się, że akcya przedwyborcza tak rzeczowo i spokojnie się potoczy. Jestto niewątpliwie piękny przykład wielkiej dojrzałości politycznej naszego społeczeństwa. Także demokracyi naszej, która silnie się zaangażowała w sprawie p. Nowickiego, bezstronny widz przyznać musi, że z za-

dania dotychczas wywiązała się godnie i poważnie. Nigdzie nie doszło do gorszących scysyj. Pozwolono wypowiedzieć się przeciwnikom tej kandydatury i na argumenty odpowiadano argumentami. To spokojne i prawidłowe zachowanie się większości jaknajlepsze u strony przeciwnej musiało wywrzeć wrażenie i jemu to zawdzięczają stronnicy p. Nowickiego wielki sukces moralny, a także korzyść o tyle, że zdołali na zebranach niejednego przeciwnika na swoją przeprowadzić stronę.

Mamy nadzieję, że kandydatura p. Nowickiego także w wiejskich powiatach potrzebne uzyska poparcie, skoro w Poznaniu samym tak świetne odniosła tryumfy. Niepodobna przypuścić, żeby tam miało być mniej zrozumienia dla tej doniosłej i ważnej sprawy. Przecież tu nie chodzi o ambicye partyjne! Chodzi o wymierzenie sprawiedliwości szerokim rzeszom robotniczym, o czynne okazanie im serca i zrozumienia słusznych żądań ludu, który nigdy nie zawiódł i zawsze spełnił obowiązek wobec społeczeństwa, o silniejsze przywiązanie go do sprawy i serdeczniejsze jeszcze zbratanie z innemi warstwami! Nas np. nic nie łączy (a niejedno dzieli) z narodową demokracyą, niejedna nas z tej strony spotkała przykrość, a przecież w tej sprawie popieramy ją wedle sił, gdyż upatrujemy w powodzeniu kandydatury robotniczej korzyść i to niezmierną korzyść dla całości społeczeństwa. Zresztą nie my nawróciliśmy się na wiarę narodowej demokracyi, lecz ona przeszła w tej sprawie na wiarę naszą. Pismo nasze bowiem od przeszło dwóch lat, tj. od chwili, gdy piszący te słowa objął jego redakcyę, dopomina się posła robotnika. A wiadomo, że wówczas kierowniczy organ narodowej demokracyi w żądaniach takich demagogiczne upatrywał zachcianki i przestrzegał lud przed „nierzetelnymi“ przyjaciółmi, sam za rzetelnego się jego przyjaciela podając.

Niechajby wreszcie kandydatura robotnicza zrodziła się z ambicyi partyjnej. Byleby ta ambicya dobru powszechnemu korzyści przyczyniała!

Jeszcze raz wskazać należy na przychylne stanowisko, jakie inteligencya tutejsza wobec kandydatury robotniczej zajęła. I cieszyć się należy z tego objawu i uznać go najgoręcej. Inteligencya spełniła swój obowiązek. Bo jeżeli komu to jej przypada zadanie być rzecznikiem wyrównawczej sprawiedliwości społecznej. Ona ze wszystkich stanów stosunkowo najmniej osobiście interesowana jest w zmiennych kolejach walk społecznych i politycznych, stąd z większą objektywnością i bardziej beznamiętnie powinna i może się rozglądać w poszczególnych sytuacyach. Że zrozumiała swą rolę w obecnie nas zajmującem położeniu i z poznania tego słuszne wyciągnęła wnioski — oto, przez co dobrze przysłużyła się społeczeństwu.

Dlaczego nie wywłaszczają?

Na pytanie to odpowiada Maksymilian Harden w swej „Zukunft“ ciekawą rewelacyą. Twierdzi on, że galicyjskie Koło polskie w Wiedniu wywarło presyę na hr. Aehrenthala, by powstrzymał rząd pruski w swych zapędach wywłaszczycielskich, gdyż w przeciwnym razie Koło polskie przestałoby popierać sojusz austryacko-niemiecki. Hr. Aehrenthal przy ostatniej swej bytności w Berlinie przedstawił to żądanie kanclerzowi niemieckiemu i uzyskał przychylną odpowiedź p. Bethmann Hollwega.

Jak było do przewidzenia, informacya ta spotkała się z kategorycznem dementi. Hakatystyczna „Taegl. Rundschau“ zaprzeczyła jej stanowczo. Mimo to zdaje się, że informacye Hardena były poprawne. Potwierdza je bowiem także berliński korespondent wiedeńskiego „Neues Wiener Journal.“

Największy czas, że Koło polskie we Wiedniu nareszcie raz ujęło się za nami. Jest ono potężnym czynnikiem w Austryi, więc ma pewne dane po temu, by nie mieszając się bynajmniej do spraw wewnętrznych Niemiec, pośrednio przyjść nam z pomocą. Sojusz austryacko-niemiecki w wielkiej mierze stoi Polakami w Austryi. Słuszna zatem, że żądają także od Niemców pewnych dla siebie względów. Dotychczas austryackie Koło polskie prowadziło politykę bezwzględnie państwową i w stosunku do Niemiec nader wstrzemięźliwą. Z wzmożoną demokratyzacyą Koła przesadna ta skrupulatność zdaje się ustępować. Koło zaczyna się snać liczyć z nastrojem ludności, którą w Wiedniu reprezentuje. A ludność galicyjska, oburzona do żywego na hakatystyczną politykę rządu pruskiego, bynajmniej nie jest zwolenniczką sojuszu z państwem, które jej rodaków w tak bezwzględny traktuje sposób.

My z tego obrotu rzeczy możemy być zadowoleni. Wiadomo przecież, że tak Francuzów w Alzacyi jak Duńczyków w Szleswigu łagodniej się w Niemczech traktuje. Dlaczego? Bo jedni i drudzy mają oparcie w rodakach swych we Francyi i Danii. Z nami się nie liczono, bo nie było na szerokim świecie nikogo, któryby się był za nami ujął, któryby miał siłę się za nami ująć. Gdybyśmy więc naprawdę w Austryi zyskali pewnego rodzaju oparcie, — a wiadomo jak bardzo Niemcy Austryi, a Austrya Polaków potrzebuje — natenczas przypuszczaćby należało, żeby i w Prusach z tym stanem rzeczy cokolwiek się liczono.

Jakkolwiek by było, nam nie oglądać się na żadną pomoc zewnętrzną, lecz ufać własnym siłom i wierzyć w słuszność sprawy naszej, która prędzej czy później w taki czy owaki sposób należytego doczeka się uporządkowania. Co zaś do wywłaszczenia, to wcale nie jest wykluczone, że teraz ze zdwojoną siłą będą parli hakatyści do jego użycia. Przewiduje to wspomniany korespondent „Neues Wiener Journal“, przewiduje to p. Franciszek Morawski, znany autor broszurki p. t. „Der kommende Tag“. Co rząd uczyni? To przewidzieć niepodobna. Tyle tylko pewna, że jakkolwiek postąpi, nas znajdzie na posterunku.

Dwie charakterystyczne odezwy żydowskie.

Pomiędzy licznemi bolączkami, które trapią nasz rozczłonkowany naród, wybitne miejsce zajmują wciąż bardziej zaogniające się kwestye narodowościowe. W Galicyi mamy niezałatwioną sprawę ruską, która z każdym rokiem groźniejszą przyjmuje postawę; na Litwie seperatyzm litewski niepokoi umysły; w Królestwie zalew niemiecki wciąż rośnie, a także w Galicyi poczyna się wyłaniać kwestya niemiecka dzięki podszczuwającej robocie hakatystów wszelakich odcieni. Wszędzie zaś, gdzie tylko Polacy żyją, mają jeszcze jednego potężnego wroga i cichego wspólnika gnębiącej nas wszędzie pośrednio lub bezpośrednio niemczyzny. Wrogiem tym — to Żydzi.

Najmniej niebezpieczni, bo nieliczni stosunkowo i zdecydowanie nam obcy — to żydzi w zaborze pruskim. Są oni wiernymi aliantami hakatystów. Każdy z nas wie, co o nich myśleć i jak się przed nimi bronić. To też cofa się tutaj żywioł żydowski na całej linii. Wypiera ich antypolska polityka rządu pruskiego, coraz więcej dojrzewająca idea so-

lidarności ekonomicznej społeczeństwa polskiego, oświata ludu, rozrastający się polski stan średni i zorganizowany kapitał polski. Inaczej w reszcie ziem polskich. W Królestwie i na Litwie obok nacyonalistycznych syonistów, marzących o utworzeniu odrębnego państwa żydowskiego z odrębną kulturą i językiem, działają t. zw. Litwacy, żydzi pochodzący z Rosyi, rozsiewający moskalofilstwo. W Galicyi także ruch syonistyczny, a więc separatyzm narodowy żydowski potężne zatacza kręgi. Tak w Galicyi jak w zaborze rosyjskim mieszkają nieprzejrzane masy żydowskie w zwartych terytoryach i żyją zupełnie obce obok chrześciańskiego społeczeństwa. Nawet języka krajowego po największej części nie znają. Zagarnęli handel, uprawiają rzemiosło, rolnictwo nawet, mają swych reprezentantów w kadrach inteligencyi zawodowej, słowem są pod względem społecznym nader zróżniczkowani; a ponieważ w ich rękach sporo jest pieniędzy i ziemi — jak w Galicyi np., którą niemal do połowy zawładnęli, — i ponieważ żyją w wielkich masach po miastach, przeto wpływy ich są wielkie. Jestto potęga, z którą się liczą i stronnictwa polityczne i zarządy miast i gmin i władze i poszczególni obywatele, lud przedewszystkiem, który w żydowskich kieszeniach po uszy siedzi.

Oczywista rzecz, że nam Polakom chodzić musi o to, by z żydami dojść do porozumienia. Wypędzić z kraju ich nie można, więc żyć z nimi trzeba i urządzić się tak, aby oni pożytecznymi byli obywatelami wspólnej ojczyjny. To też od długich lat czynią się starania, by żydów zasymilować t. j. przerobić ich na Polaków mojżeszowego wyznania. Niestety nie dużo mieliśmy pod tym względem powodzenia. Cienka zaledwo warstwa inteligencyi żydowskiej, (i ta jeszcze nie w całości i nie zbyt głęboko) przejęła się ideałami naszemi. Olbrzymie masy żydowskie pozostały nam obce, a w ostatnich czasach wciąż mnożą się poszlaki, że stają się świadomie wobec nas wrogie i nienawistne. Litwacy, syoniści zrobili swoje. Równocześnie ruszył się w kraju jako odwet prąd antysemicki. Antysemityzm polski słaby, raczej w słowach i pismach anżeli w czynach się uwydatnia. Wszakże jest i porusza umysły i sumienia. Dało to do myślenia po stronie żydowskiej. W tygodniku warszawskim „Odrodzenie“ zamieścił p. J. Wasercug „Wezwanie do żydów, zwiących się Polakami.“ Przytaczamy ważniejsze ustępy.

„Od szeregu miesięcy słuchacie — pisze p. Wasercug — co mówi o sprawie asymilacyi żydów prasa polska. Rzucono wam — i rzucono mocno — okrzyk: „idea asymilacyi zbankrutowała, nie wprowadzajcie w błąd opinii społeczeństwa.“

Stwierdzono siłę separatystycznych dążeń żydowskich i duży wpływ, wywierany na masy przez żydów nacyonalistów.

W procesie dziejowego przeistaczania się stosunków polsko-żydowskich nastąpił teraz moment wysoce poważny, którego następstwa mogą być prawdziwie tragiczne.

Może wytworzyć się taki stan rzeczy, że w świadomości Polski zatrze się zupełnie poczucie różnicy pomiędzy żydem obcym polskości a żydem, przejętym ideałami polskiego narodu.

Może nadejść chwila usunięcia żydów od obywatelskiej pracy na ziemi polskiej.

I wtedy wnuki albo prawnuki wasze będą przeklinali waszą pamięć, żeście nie uczynili nic, aby uniknąć tak tragicznego dla nich losu.

Pomruk niechęci do żydów rozlega się niemal wszędzie.

I cóż wy na to?“

Stwierdziwszy, że żydzi-Polacy zamiast działać w kierunku asymilacyi, debatowali tylko, wzywa p. Wasercug swych współwyznawców, aby natychmiast przystąpili do zorganizowanej, planowej i metodycznej pracy asymilacyjnej.

„Wzywam was—woła—do walki z separatyzmem żydowskim i z tymi wszystkimi, którzy obcość żydów na tej ziemi świadomie utrwalają.

Wzywam was do natychmiastowego założenia polskiego organu asymilatorów, a celem takiego pisma być musi mocne przeciwstawienie się nacyonalistycznej prasie żargonowej. Wzywam was do założenia popularnego pisma dla mas żydowskich, by módz przemówić do ludu. Wzywam was, abyście masy żydowskie nauczyli czytać i pisać po polsku.

To mówię do was, mających możność stworzenia materyalnej podstawy takiej działalności. Nie żałujcie pieniędzy na te cele, abyście nie zasłużyli na pogardę przyszłych pokoleń.

Ogłoszę publicznie nazwiska tych, którzy udają polskich patryotów, którzy przy każdej sposobności manifestują swoją polskość, którzy karmią siebie i swoje otoczenie patetycznym frazesem, a nie przyczyniają się niczem do posunięcia sprawy asymilacyjnej, choć mają po temu możność zupełną.“

Tak przemawia do swych współwyznawców Polak mojżeszowego wyznania.

Posłuchajmy teraz odezwy nacyonalistów żydowskich. Związek syonistyczny w Paryżu rozesłał do żydów odezwę następującej treści:

„Niema dziś na całym świecie kątka ziemi, któryby się bardziej nadawał do zupełnego przez nas opanowania i zawładnięcia nim, jak Węgry i Galicya.

Te oba kraje muszą się stać naszymi, wszystko nam tu sprzyja. Starajcie się wszyscy, bracia żydzi, starajcie się ze wszystkich sił, zawładnąć zupełnie tymi krajami, starajcie się wyprzeć z nich wszystkich chrześcian z każdego zawodu, stać się jedynymi panami kraju! Starajcie się wszystko to, co dziś jeszcze oni mają, zagarnąć w swoje ręce a jeżeli nie mielibyście sami do tego dostatecznych środków pieniężnych, to nasz Związek, towarzystwo nasze w Paryżu, dostarczy ich wam i dopomoże, ile tylko będzie potrzeba.

Nasz Związek zbiera na ten cel składki i nadspodziewanie wpływają ofiary do naszej kasy na wyrwanie galicyjskiej i węgierskiej ziemi z rąk Galicyan i Węgrów, a oddanie jej wyłącznie w posiadanie żydów.

Składają się magnaci całego świata, dają wielkie ofiary.

I wy złączcie wszystkie swoje siły, aby cel ten, który wam wskazujemy, jak najprędzej zupełnie osiągnąć“.

W tych dwóch tak sprzecznych ze sobą co do ducha i treści odezwach odzwierciedla się nastrój społeczności żydowskiej. Niestety wszelkie poszlaki wskazują na to, że olbrzymia większość żydostwa żywi wobec nas te uczucia, jakie w paryskiej syonistycznej odezwie się uwydatniają. Znikająca tylko, niewpływowa mniejszość myśli i czuje tak jak p. Wasercug. Największy czas, by społeczeństwo jasno zdało sobie z tego stanu rzeczy sprawę i należyte stąd wyciągnęło wnioski.

Wiadomości.

— Baczność. Kto z czytelników naszych pragnie nabyć reprodukcyę albumowego obrazu „Nienawiść i miłość,“ wykonaną na pięknym, sztywnym kartonie, niech nadeśle w liście 50 fenygów w znaczkach pocztowych, a otrzyma obraz zwrotną pocztą franko.

— **Dobra rycerskie Modrze** z przyległościami, 4500 mórg najprzedniejszej ziemi w powiecie Poznańskim, należące do p. Marcina Biedermanna — przeszły w ostatnim czasei na własność spółki w tym celu utworzonej składającej się z najwybitniejszych obywateli polskich Księstwa. Zdanie gospodarstwa i przepisanie tytułu własności już nastąpiło.

— **Wieś rycerska Miedzianow** 1400 mórg w powiecie Ostrowskim, nabyta przez p. Mar-

cina Biedermanna od pp. Marszałków, przeszła na własność zaszczytnie znanego obywatela p. Wincentego Niemojewskiego z Śliwnik.

— **Wieś rycerska Miedzyn** 1600 mórg pod Bydgoszczą, należąca dotąd do Niemca p. v. Pfefferkorn — przeszła na własność p. Marcina Biedermanna z Poznania. Odbiór majątku już nastąpił.

— **Wielkie zainteresowanie** wzbudziła nowa wystawa Towarzystwa Przyjaciół sztuk pięknych (Bismarka 8.), zawierająca wielki cykl obrazów Wyczółkowskiego pt. „Skarbiec Wawelski.“ Oprócz dzieł Wyczółkowskiego wystawione są prace Filipkiewicza, Gałka, Gosienieckiego, Grotta, Marcinkowskiego, Markiewicza, Mycielskiego, Radziszewskiego, Wodzińskiego. Rubczaka, Rungiego, Skoczylasa i Wywiórowskiego. Wystawa otwarta od 10-tej do pół do 2-giej i od pół do 3-ciej do 6-tej, w niedzielę zaś i święta od pół do 12-tej do 4-tej. Wstępne 50 fen., dla młodzieży 25 fen.

— **Skarbiec Wawelski.** Chcąc ułatwić jaknajszerszej publiczności zwiedzenie „Skarbca Wawelskiego“ malowanego przez jednego z największych artystów polskich Wyczółkowskiego dzieła, które każdego Polaka nie tylko pod względem artystycznym, ale także pod względem pamiątkowo narodowym w wysokiej mierze zaciekawić powinno, obniża Tow. Przyj. Sztuk Pięknych wstęp na niedzielę po południu na 10 fen. od osoby. Towarzystwom i młodzieży uczącej się o ile zbiorowo chcą zwiedzić wystawę także i w inny dzień tygodnia, chętnie obniży wejście sekretaryat po poprzedniem porozumieniu się. Zgłoszenia przyjmuje kasyerka Tow. Przyj. Sztuk Pięknych Bismarka Nr. 8.

— **Dzień stuletniej rocznicy urodzin Chopina** minął już wprawdzie, zmilkło też już echo ogólnego obchodu jubileuszowego w Poznaniu, ale poszczególne towarzystwa jako takie uczciły dotąd w skromnej tylko liczbie w łonie swem pamięć nieśmiertelnego naszego geniusza muzycznego. O znacznej liczbie towarzystw wiadomo, że przygotowują stosowne obchody, ale większość towarzystw w kraju i na obczyźnie o tem jeszcze nie pomyślała. Do tych przeto towarzystw niżej podpisany Komitet odzywa się ponownie, by nie zapomniały o moralnym swym obowiązku wobec cieniów króla naszej pieśni fortepianowej i złożyły mu hołd należyty.

Pomocną będzie im przytem popularna broszura p. dr. Schultza, wydana staraniem Komitetu. Broszura ta, którą nabyć można w księgarniach polskich, kosztuje 15 fen.

Donosimy też, że Kantata Maszyńskiego ku czci Chopina, wykonana podczas obchodu jubileuszowego w teatrze, wyszła obecnie drukiem u Gebethnera i Wolffa. Można ją nabyć w księgarniach.

Ostatecznie, raz jeszcze polecamy względom sfer, dbałych o naszą kulturę, fundusz jubileuszowy, przeznaczony na poparcie muzyki polskiej.

Komitet Przygotowawczy im. Chopina:

B. Dembiński, prezes. St. Karwowski, zast. pr. L. Broekere, sekretarz. T. Schultz, zast. sekr.

— **Krotoszyn.** Wiec wyborców miasta Krotoszyna odbędzie się w przyszłą niedzielę, dnia 20-go b. m. o godzinie pół do 5-tej na sali p. Dymlanda.

Sprawozdanie z działalności poselskich zda pan poseł Dr. Trzciński.

O liczne przybycie wyborców, również pań naszych prosi

Komitet wyborczy miejski.

— **Z prowincyi.** Donoszę najuprzejmiej, że właśnie odebrałem numer „Pracy.“ Bardzo mi się to pismo podoba, więc go już nigdy porzucić nie chcę. Będę się zarazem starał, ażeby każdy, który chce pożyteczne tygodniowe pismo polskie czytać, abonował „Pracę.“ Każdemu kupcowi i przemysłowcowi będę polecał „Pracę,“ jako najodpowiedniejszy organ do ogłoszeń. Bardzo mi się podobają powieści, piękne ryciny i wogóle wszystkie artykuły.

Ignacy Ch.

— **Czechowice, Śląsk austryacki.** Serdecznie dziękuje za tak piękną gazetę. W niej człowiek znajdzie wszystko, czego potrzeba do oświaty: Powieści, wierszyki, wykłady popularne, żarciki, artykuły polityczne, obszerny dział kobiecy, kalendarzyk historyczny i zagadki. Zagadki są jednak trudne dla mnie nieuczonego, ale z numeru 9-go udało się mi zgadnąć, więc nadsyłam rozwiązanie. (Rozwiązanie było trafne, nagrodę wysłaliśmy. Przyp. Redakcyi).

Szanowna Redakcyo! Proszę się na mnie nie gniewać, że ją zatrudniam mojem bazgraniem, lecz wybaczy mi to, ponieważ piszę przyszedłszy z roboty. Później napiszę list obszerniejszy.

Jan M., robotnik.

— **Wrocław.** Od 7—10-go b. m. odbył się egzamin w seminaryum Dr. Nisle we Wrocławiu. Takowemu poddały się także dwie rodaczki, panie Anna Baranowska i Kazimiera Maternicka z Wrocławia. Obie uzyskały patent na nauczycielki do średnich i wyższych szkół.

Nekrologia.

†Ś. p. **Władysław Grygrowicz**, długoletni urzędnik gospodarczy z Gołuchowa, dnia 9-go b. m. Pogrzeb odbył się dnia 12-go b. m. w Pleszewie. — Ś. p. **Stanisław Giszczyński**, dnia 11-go b. m. w Poznaniu w 68-ym roku życia. — Ś. p. **Konstanty Laubitz**, dnia 10-go b. m. w 85-tym roku życia w Ludkowie pod Kalwaryą. — Ś. p. **Józef Piotrowski**, dnia 13-go b. m. w Stęszewie w 80-tym roku życia. — Ś. p. **Antoni Wybleralski**, dnia 13-go b. m. w Miejskiej Górce — Ś. p. **z Sawalów Józefa Kowalewska**, akuszerka obwodowa, dnia 24-go z. m. w W. Chrzypsku w 36-tym roku życia. — Ś. p. **z Dzieciuchowiczów Dorota Czechowska**, dnia 15-go b. m. w Poznaniu, przeżywszy lat 63. — R. i. p.

Od Redakcyi.

— **Panu P. S. w Koźminie.** — Komunikat o zeszłoniedzielnej uroczystości szopenowskiej otrzymaliśmy za późno — dnia 10-go b. m., już po zamknięciu redakcyi ostatniego numeru „Pracy.“

Notatki do najbliższego numeru musimy otrzymać najpóźniej w każdą środę rano, a jeżeli w tygodniu n. p. w czwartek jest święto, już we wtorek rano.

— **Panu L. W. w Szamotułach.** — I tym razem „musztarda po obiedzie.“ Patrz powyższą notatkę.

— **Panu S. W. O. D. 28.** — Wyraz ten pochodzący z łaciny oznacza gromadę ludzi związanych wspolnym interesem, a działających szkodliwie dla ogółu; przetłumaczony na polskie ma brzydkie znaczenie.

— **Panu L. C. w Berlinie.** — Pan Z. Słupski w Poznaniu — ulica Łazarska (Lazarusstrasse) nr. 11, poinformuje Szan. Pana w tej sprawie najdokładniej, gdyż wydaje mapy ziem polskich.

— **Panu Ignacemu Ch. w B.** — Jeżeli tak jest rzeczywiście z ojcem, jak Szan. Pan opisuje, niech to popoświadczą dwie wiarogodne wpływowe osoby n. p. ksiądz proboszcz i jeszcze ktoś inny z parafii. Po otrzymaniu świadectw składkę otworzymy W takich sprawach po różnych doświadczeniach musimy być ostrożni, bo słusznie mówi przysłowie: „Kto się na gorąco sparzył, ten na zimno dmucha.“

— **Panu B. J. w Cieszynach.** — Obrazy te są zupełnie wyczerpane.

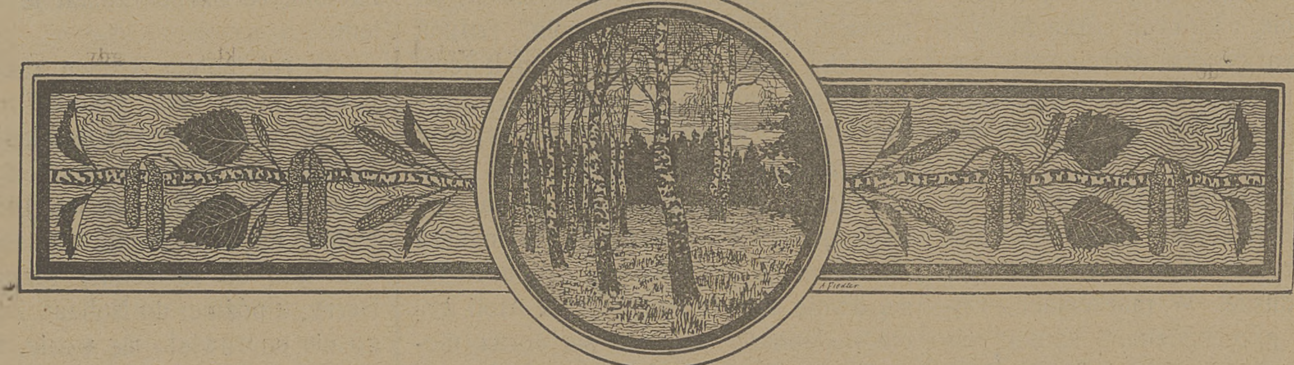
Reklamy.

Na inserat firmy **K. Greger et Co** (właściciele pp. Kazimierz Greger i Bogdan Pyszkowski) zwracamy baczną uwagę Szan. Czytelnikom. Obszerny i wykwintnie urządzony magazyn zaopatrzyli właściciele w wielki wybór aparatów i przyborów fotograficznych tylko z fabryk pierwszorzędnych i konstrukcyi najnowszej. Właściciele powyższej firmy, rzutcy Kupcy, przyjmują wszelkie zamówienia, jak wywoływanie, kopiowanie, powiększanie, retuszowanie i inne prace, wchodzące w zakres fotografii. Rodzice, którzy pragną kupić synom swoim aparat fotograficzny jako podarek za dobre postępy w naukach, niech się udadzą do powyżej wzmiankowanej firmy!

Centralny Dom tapet, cerat, linoleum i linkrusty pod firmą Koczorowski et Co **w Poznaniu przy Starym Rynku nr. 80,** jest największem i jedynem specyalnem przedsiębiorstwem polskiem na Poznań i W. Ks. Poznańskie. Właściciele, rzutcy i przedsiębiorczy przemysłowcy, cieszą się bardzo znaczną liczbą odbiorców, gdyż wystawiają na sprzedaż wyłącznie towar jakości wyborowej, a do tego po cenach nizkich. W ciągu roku ubiegłego otrzymała firma zamówienia od zarządu Banku Przemysłowców i Muzeum Towarzystwa Przyjaciół Nauk, od p. Leitgebra, właściciela Domu kupieckiego przy pl. Wilhelmowskim, oraz pp. Śniegockiego, Kliszczyńskiego i wielu innych. Na sezon tegoroczny zabezpieczyli się właściciele w olbrzymi wybór tapet i polecają je posiadaczom kamienic i budowniczym po cenach rzetelnych. (Patrz ogłoszenie).

Nadesłane.

Kto zna życie praktyczne, przyznać musi, iż wielkie zakłady daleko większą dać mogą gwarancyę co do czystości wyrobu artykułów spożywczych, aniżeli zakłady na małą prowadzone skalę. Wielki zakład znajduje się bowiem niejako pod kontrolą publiczną. Setki robotników, oficyalistów i odbiorców przekonać się mogą naocznie, co się dzieje w zakładzie i w jaki sposób odbywa się fabrykacya. Chcąc więc sobie uwidocznić, jaka czystość panować powinna w każdym wielkim zakładzie, zwiedzić należy fabrykę van den Bergh'a w Cleve, gdzie wyrabiają znane powszechnie gatunki margaryny „Vitello“ i „Cleverstolz.“ Tak dozór fabrykacyi tych dwóch wyśmienitych artykułów spożywczych, jak i kontrolę jakości surogatów, używanych przy ich wyrobie, wykonywują specyalni urzędnicy rządowi, stale mieszkający w zakładzie.



Fryderyk Szopen.

(Ciąg dalszy).

Ze Stuttgardu pojechał Szopen do Paryża. Paryż oszołomił go ruchem, gwarem, potęgą życia, bijącego żywem tętnem we wszystkich dziedzinach: nauki, sztuki, stosunków towarzyskich. Tu był Szopen przedewszystkiem, jako muzyk, w swoim żywiole. Paryż skupiał w sobie wszystkie znakomitości światowej sławy. Zapoznał się też nasz wirtuoz z kapelmistrzem nadwornym Paierem, a przez niego z Rossinim, Cherubinim, ze skrzypkiem Bailliotem, rywalem Paganiniego, z pianistami: Hillerem i Kalkbrenerem. Tym ostatnim był Szopen zachwycony; pisał o nim: „jest to olbrzym, depcący wszystkich pianistów, a tem samem i mnie“. Kalkbrener był także „zdumiony“, gdy Szopen zagrał mu swój koncert E-moll. Zachwycony grą „olbrzyma“ postanowił Szopen brać u niego lekcye; atoli Kalkbrener oznaczył mu czas nauki na... trzy lata. Tak długiego czasu przeląkł się nasz wirtuoz; trzy lata jeszcze się uczyć, może zatracić własne ja w „szkole“, naginać się do „metody“ i „systemu.“ to nie odpowiadało żywej, wrażliwej naturze Szopena. To też mimo, że Szopen zaczął brać lekcye, wkrótce wycofał się, pozostawszy i nadal w jak najlepszych stosunkach z Kalkbrenerem. Równocześnie zbliżył się do Mendelsona i Liszta.

Tymczasem coraz liczniej napływali do Paryża Polacy, między nimi wielu kolegów i znajomych Szopena. Garnął się do nich skwapliwie młody wirtuoz.

W Paryżu wrzało. Francuzi po lipcowej rewolucyi rozpolitykowani byli więcej, niż kiedy, a niezadowolenie z rządów Ludwika Filipa, przybierając coraz większe rozmiary, nastrajało umysły burzliwie i rewolucyjnie. Sympatyzował z karlistami, nosił też kamizelkę zieloną, w którą ubierali się członkowie tego stronnictwa.

Na początku 1832 r. smutna wieść doszła Szopena z kraju. Jego cichy „ideał“, o którym zawsze myślał, pragnąc do niego powrócić, panna Konstancya Gładkowska, wyszła za mąż za kupca Józefa Grabowskiego, i ustąpiła ze sceny. Wiadomość „ta struła go“, dawne uczucia melancholii i splenu powróciły, było mu znowu bardzo źle na świecie. Prócz tego i z pieniędzmi było bardzo krucho: chorował na ich brak od chwili, gdy przybył do Paryża. Ulegając radom przyjaciół, postanowił w Paryżu urządzić koncert. Po wielu trudach i kłopotach doprowadził do skutku tę myśl 26 lutego 1835 r. Koncert, który udał się znakomicie pod względem muzykalnym i artystycznym, niedopisał pod względem materyalnym. To przygnębiło Szopena, zwłaszcza, że o kompozycyach Szopena krytyka nie zawsze przychylnie się wyrażała; niektórzy krytycy szykanowali go po prostu, a sławny krytyk, Field, nazwał go „szpitalnym talentem.“

Szopen zaczął na seryo wobec tego wszystkiego myśleć o opuszczeniu Paryża i projektował nawet wyjazd do Ameryki, obiecując sobie, że tam zdoła zrobić majątek. Z drugiej strony rodzice nalegali, ażeby wracał do Warszawy. Na namysłach i wahaniu upłynęło dosyć czasu. Szopen zdecydował się wracać do Warszawy, gdy na parę dni przed wyjazdem spotkał przypadkiem Walentego Radziwiłła, który namówił Szopena, aby z nim poszedł na najbliższy wieczór do Rotschilda.

Ten wieczór zdecydował o jego losie. Zgromadzony na salonach Rotschilda świat arystokratyczny, Szopen zupełnie podbił swą grą, pełną melancholii i czarodziejskiej poezyi. Zaproponowano mu lekcye w najpierwszych domach Paryża, przytem nie mniej płacono mu, niż 20 franków za godzinę. Szopen postanowił zostać w Paryżu, zwłaszcza, że od razu stanął świetnie pod względem materyalnym.

To też ani myślał liczyć się z groszem. Wynajął sobie wspaniałe mieszkanie przy rue Chaussé, które stało się wkrótce ogniskiem życia towarzyskiego znakomitości literackich i muzycznych. Bywali więc u Szopena: Mickiewicz, Heine, Bohdan Zaleski, malarz Delaroche, Berlioz, Liszt, Meyerbeer, Rossini itd.

Domy polskie w Paryżu rozrywały go pomiędzy siebie, bywał u Czartoryskich, Platerów, Komarów. „Wszedłem w pierwsze towarzystwa, pisał, siedzę między ambasadorami, książętami, a nawet nie wiem, jakim cudem, bom się sam nie piął. Dla mnie jest to dziś rzecz najpotrzebniejsza, zo ztamtąd niby dobry gust przychodzi i zaraz masz większy talent, jeżeli cię w ambasadzie angielskiej lub austryackiej słyszano; zaraz lepiej grasz, jeżeli cię księżna Vaudemont protegowała“.

Słowem Szopen stawał się osobistością sławną w Paryżu, coraz też częściej występował w koncertach najpierwszych muzycznych znakomitości, sam z „najpierwszymi“ stawiany na równi. W marcu w roku 1835 urządził Szopen w sali opery włoskiej wielki koncert na dochód ubogich Polaków, w którym grał swój koncert E-moll z orkiestrą i wykonał razem z Lisztem duet na dwa fortepiany Hillera. Mimo ogromnego sukcesu, Szopen nie był po tym koncercie zadowolony z siebie. Czuł się „małym“ wobec Liszta, którego potęgę w oddziaływaniu na tłumy podziwiał. Bo też w istocie żywiołem Szopena nie były tłumy słuchaczów; wolał niewielki a wykwintny salon i dobrane grono słuchaczy, rozumiejących „duszę“ muzyka.

Wkrótce miał Szopen doznać ciężkiego zawodu w swych uczuciach. W tym czasie bowiem zbliżył się znowu

do rodziny Wodzińskich, którzy mieszkali w Dreźnie, i których córka Marya, niegdyś towarzyszka dziecinnych zabaw Szopena, była teraz prześliczną panną, uwielbianą wszędzie, gdzie się pojawiła.

Szopen odwiedzał Wodzińskich w Dreźnie, zbliżył się do Maryi i odrazu tajemny węzeł sympatyi, czy miłości, związał ich dusze. W marzeniach przy muzyce. na przechadzkach samotnych upłynął Szopenowi cały miesiąc w Dreźnie. W tym czasie napisał walca F-moll i poświęcił go Maryi. Zakochany był coraz bardziej, postanowił starać się o Maryę — to też następnego lata, kiedy znowu zjechał się z Wodzińskimi w Maryenbadzie, oświadczył się o Maryę i został przyjęty.

Z głową pełną marzeń powrócił do Paryża, skąd często pisywał do ukochanej, spowiadając się jej z wszystkich swych myśli i uczuć. Tymczasem jednak zaczął podupadać na zdrowiu, kaszleć i cierpieć na dotkliwy ból w piersiach.

Nagle, najniespodziewaniej, otrzymał od Wodzińskich list, w którym zwracano mu słowo z prośbą, aby wszystko, co go łączyło z Maryą, uważał za skończone. Ojciec Maryi, pragnąc ją wydać za człowieka z „swojej sfery‘ ‘i znalazłszy kandydata, ani myślał wydawać córki za... „grajka“.

To był cios. który uderzył ‚grajka“ w samo serce. Zawiedziony w uczuciach, draśnięty boleśnie w miłości własnej, przestał pisywać do Służewa — a różę, którą niegdyś dała mu Marya w Dreźnie, schował w kopertę, owinął ją czarną wstążką, a na kopercie napisał: „Moja bieda“.

Dla rozerwania się wyjechał ze Stanisławem Koźmianem do Londynu, gdzie nie zabierał zadnych znajomości. Na zdrowiu nie poprawił się wcale, na duszy cierpiał bardzo. Wkrótce powrócił do Paryża.

Odtąd rozpoczyna się nowa epoka jego życia... a mianowicie znajomość z panią George Sand.

Z panią Sand poznał się Szopen przez Liszta na początku roku 1837. Pierwsze wrażenie, jakie odniósł, było ujemne; twarz jej była mu niesympatyczna, a w całej postaci widział „coś odpychającego“. Pani Sand miała wówczas lat 33, a zdaniem Musseta i Heinego, była ona „pięknością“. Była to blada brunetka, o cerze oliwkowej, czarnych oczach, dużych, jak u Indyanki. Około ust jej igrał dobrotliwy uśmiech. Małe ręce i stopy, przepyszne ramiona dopełniały pięknej całości. Pani Sand była kobietą „wolną“ w całem słowa tego znaczeniu; najwyższem jej prawem była własna jej wola, jedyną pobudką życia i działania zaspokojenie własnych pragnień, dziwacznych i oryginalnych, wypływających zresztą z jej ognistego temperamentu. Jako ośmnastoletnia dziewczyna wyszła za mąż za francuskiego pułkownika Kazimierza Dudevant. Z małżeństwa tego urodziło się dwoje dzieci: syn i córka. Atoli życie małżonków stawało się coraz nieznośniejszem; pani Dudevant była pełną polotu, fantazyi, jej mąż zaś był człowiekiem prozaicznym, praktycznym, „leniwym umysłem“. To też w dziewięć lat po ślubie małżonkowie separowali się. Pani Aurora (takie było jej imię) przeniosła się do Paryża, przyjaźniła ze studentami, ubierała się po męsku, bywała w teatrach i kawiarniach — słowem, wiodła zupełnie swobodne życie.

Zapoznawszy się z dziennikarzami i literatami, zaczęła pisać do „Figara“, a zachęcona olbrzymiem powodzeniem, napisała i wydała powieść p. t. „Indyana“ pod pseudonimem George Sand. Pod tem nazwiskiem zdobywała sobie z każdym dniem coraz głośniejszą sławę, jako powieściopisarka. Dzieła jej rozchwytywano.

Pan Hösick w biografii Szopena tak ją charakteryzuje: „Najgenialsza ze wszystkich kobiet piszących, świetna stylistka, obdarzona niezwykle bujną wyobraźnią poetycką, choć niegrzesząca zbytnią głębokością swych paradoksalnych pomysłów, jako kobieta, był to Don Juan w spódnicy, stający się wampirem dla tych, których swym urokiem opętał. Zmysłowa i lubieżna, była nienasyconą w swych cielesnych żądzach, a gdy szło o ich zaspokojenie, nie krępowała się żadnemi skrupułami. Zrównoważona umysłowo, praktyczna i trzeźwa z natury, nie odznaczała się ani szlachetnością instynktów, ani wzniosłością duszy, ani delikatnością uczuć. A jednak, posiadała taki dar przykuwania do siebie tych, których kochała chwilowo, że choć poznawali się na pospolitości i grubości jej natury, nigdy całkowicie nie obojętnieli dla niej.

Przeklinali ją, a jednak, gdyby zechciała, każdyby wrócił do niej. Albowiem było coś z demona w tej kobiecie“.

Pani Sand, zachwycona zarówno gra, jak i osobą Szopena, prosiła Liszta, aby go wprowadził do jej domu. Nie taiła się ona ze swem dla wirtuoza uwielbieniem, tak, że raz podsunęła mu karteczkę, na której ołówkiem nakreślone były słowa: on vous adore. George. (Jesteś uwielbiany). Skończyło się na tem, że Szopen został jej wielbicielem.

W rok potem Szopen zaczął podupadać na zdrowiu. Niknął w oczach. Wycieńczony cierpiał na ciągłą chrypkę i ból gardła, połączony z uporczywym kaszlem. Na wiosnę 1838 r. wyjechał, na zaproszenie pani Sand, na całe lato do jej letniej rezydenyci w Berry, a później do Nohaut. Zdrowie jego nie poprawiało się wcale, siły tracił z każdym dniem, tak, że zwątpił w możność powrotu do zdrowia i nawet w przewidywaniu rychłej śmierci z suchot, sporządził testament.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Kongres narodowy polski
w Waszyngtonie.

Wyjątkowo rzadko zdarzyć się może uroczystość tak poważna, uroczystość urzędowa wielkiego Społeczeństwa, jak **odsłonięcie pomników dwóch polskich bohaterów, Kościuszki i Pułaskiego, która odbędzie się w stolicy Stanów Zjednoczonych 3-go maja b. r.**

Pomnik Pułaskiego wznosi rząd Stanów Zjednoczonych, jako jednemu z najdzielniejszych, który walczył za wolność tego kraju i zginął za nią śmiercią bohaterską. Pomnik Kościuszki wznosi największa organizacya polska w Ameryce bohaterowi dwóch światów, Związek Narodowy Polski, chcąc uczcić tym sposobem obrońce swobód narodowych i bojownika za wolność tego kraju, który ukochaliśmy serdecznie. Ta zapowiedziana uroczystość tak wielkim głosem przemówiła do serc Polonii amerykańskiej, że największa organizacya polska Z. N. P., na Sejmie w Baltimore przez swoich 500 prawie reprezentantów postanowiła zwołać na tę uroczystość Kongres Narodowy Polski do Waszyngtonu.

„Celem Kongresu jest omówienie obecnego położenia Narodu Polskiego tak w Polsce, jak i na wychodźtwie pod wszystkimi względami — politycznym, kulturalnym, naukowym, ekonomicznym, zapoznanie się z drogami, któremi kroczy polska myśl polityczna, uświadomienie głównych braków i potrzeb polskiego życia narodowego, wyjaśnienie i wynalezienie sposobu zaradzenia tym potrzebom i w ogólności wypracowanie dyrektywy, któraby mogła pozyskać uznanie społeczeń-

stwa polskiego i służyć mu niejako za wskazówkę w jego ciężkiej walce o byt narodowy we wszystkich dzielnicach Polski i na wychodztwie.“

Przytoczyłem tu ustęp z odezwy ogłoszonej w swoim czasie w amerykańskich pismach polskich i powtórzonej za niemi w niektórych krajowych. Środkiem zaś do osiągnięcia tego celu byłoby zgodne poparcie sprawy Kongresu przez najwybitniejszych przedstawicieli z ojczystego kraju, ze wszystkich dzielnic dawnej Rzeczypospolitej polskiej i z Wychodźtwa. Osobisty udział przodowników społeczeństwa, choćby nieliczny, byłby pożądany, a jeśliby odległość,trud i koszta podróży stać miały na przeszkodzie w udziale osobistym, to już samo poparcie najlepszych i najmądrzejszych ludzi w narodzie, przez napisanie odpowiednich referatów przynajmniej zbliżyłoby nas do tego celu, jaki Kongres osiągnąć zamierza. Rozumne i wszechstronne rozpatrywanie spraw społecznych, ożywione duchem miłości bratniej, bystry, jasny i trzeźwy pogląd na przeszłość z wysnuwaniem wniosków na przyszłość, szukanie punktów stycznych, choćby różniących się poniekąd przekonań społecznych, może oddać wielkie usługi społeczeństwu naszemu na dziś i być posiewem, który w przyszłości przynieść może błogie owoce. A do tej poważnej pracy powołani wszyscy rodacy dobrej woli, jak dobra wola, bez żadnych uprzedzeń stronniczych czy partyjnych, podyktowała nam zwołanie tego Kongresu.

Tą dobrą wolą powodowani w imię zacnej sprawy, nie przeceniając słabych sił własnych, zwróciliśmy się już dawniej do naszych duchownych przewodników w ojczystym kraju z prośbą o udział ich w Kongresie, o mądrą radę, o pomoc w dobrem dziele. Młodsi, acz liczni bracia — bo liczący dziś w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie przeszło trzy miliony — zapewne nie na darmo wyciągają ręce do Macierzy, której ideałami już nowe pokolenie wychowaliśmy, z prośbą o zasilenie nas nowemi, świeżemi siłami, ciepłem serdecznem, w błogiej nadziei, że nie będzie dla nas macochą, że nie wyrzekła się swoich wiernych synów.

W imieniu Komitetu przedkongresowego

Romuald Piątkowski.

Snujmy dalej ten wątek, który z nieba płynie:
Co w nas z Boga poczęte, to nigdy nie zginie.

Wincenty Pol.

Zapomniany lud polski.

Napisał
G. SMÓLSKI.

(Ciąg dalszy).

Mimo długich, wielorakich i dość żywych stosunków łączących Polskę z Słowaczyzną, żywioł polski po oderwaniu jej od Polski, nie zdołał wśród Słowaków zapuścić głębszych korzeni, a nawet nie zdołali Polacy ochronić od zniszczenia tego, co pozostało z pierwotnej polszczyzny. Wpływy polskie na Słowaczyźnie nie posiadały w sobie odżywczej narodowej siły w stosunkach do ludności miejscowej. Panowie polscy władający Trenczyńskiem, Orawą, Liptowem, Spiżem i Szaryszem wznosili się dumnie ponad rzeszę prostego gminu, który był dla nich tylko *misera contribueus plebs,* nad którym wywierali tylko surowe panowanie wypierając się z nim wspólności. Polscy możnowładzcy na Słowaczyźnie: Ściborowie, Komorowscy, Siedleccy, Dubowscy, Lubomirscy, Łascy i inni trzymali się klamki dworu węgierskich królów, pozostając w stosunkach ściślejszych tylko z szlachtą madziarską, przedstawiającą w stosunku do rodzimej krajowej ludności żywioł ciemięzki — przez co pozostawali w przeciwieństwie do masy ludności i nie mogli posiadać, łącząc się z ich ciemięzcami, ani jej przychylności, ani zaufania. Po upadku Polski, po oderwaniu od niej Spiża, nikt u nas nie troszczył się zgoła o polską ludność na Słowaczyźnie. Zapomniano o niej najzupełniej, pozostawiając ją bez żadnej opieki i oświaty narodowej na łup bezdennej niedoli, w której skazaną jest żyć do dziś dnia.

Zupełnie inne zajęli stanowisko Czesi na Słowaczyźnie. Oni przeciwnie zbliżyli się po przyjacielsku do ludności krajowej i nawiązali z nią od wieków bliższe pobratymcze stosunki, oddziaływując silnie na lud miejscowy w kierunku narodowym i pobudzając go do nowego życia. Czynili to zarówno



Ruiny zamku Ścibora w Beckowie.

husyci, którzy byli „biczem Bożym“ dla uciskającego lud możnowładztwa madziarskiego, po nich zaś „bracia czescy“ i „morawscy“. Tym sposobem wzięła czeszczyzna górę nad polszczyzną na Górnych Węgrzech a wszedłszy do kościoła i piśmiennictwa słowackiego i zawładnąwszy narodową oświatę Słowaków, oddziaływała silnie też na gwary ludowe, każąc je i oddalając od polszczyzny. Tylko w górzystych, mniej przystępnych cześciach kraju nie zdołał wpływ czeski zmniejszyć w gwarach ludowych pierwotności polskiej, nie zdołał zepsuć gwar polskich.

Obecnie łączą też Słowaczyznę z Czechami, mimo wyzwolenia się jej z wszechwładztwa czeszczyzny przez utworzenie własnego języka piśmiennego, mimo proklamowienia odrębności narodowej słowackiej — bardzo liczne i dość ścisłe węzły. Już sam słowacki język piśmienny, wzorowany na czeszczyźnie, posiadający czeską pisownię, nie mogącą wyrazić brzmień słowackich gwarowych, łączy Słowaków z Czechami. Następnie Czesi, nie obrażając się odrębnością narodową Słowaków, nie przestali z nimi utrzymywać przyjacielskich stosunków, przyczem stoją niezachwianie na stanowisku przynależności Słowaków do plemienia czeskiego a usiłują temu nadać wyraz jako przyjaciele Słowaków. Robią więc swoje bez zrażania sobie Słowaków, tolerując ich odrębność narodową. Między Pragą a Turczańskim Świętym Marcinem istnieje bardzo żywa wymiana myśli i wzajemności na polu piśmiennictwa i sztuki. Czesi wydają w Pradze osobny miesięcznik, pisany w połowie po słowacku a w połowie po czesku, poświęcony obronie interesów Słowaczyzny. Miesięcznik, bardzo dobrze i zręcznie redagowany, wychodzi pod napisem *„Nasze Slowensko“.* Słowaccy pisarze zamieszczają w nim swoje utwory a to stanowi jego wziętość na Słowaczyźnie. W *„Naszem Slowensku“* ogłasza też swe utwory pierwszy słowacki poeta *Hwiezdoslaw* (Paweł Orszag), żyjący w mieście Dolnym Kubinie na Orawie a urodzony w Namiestowie na Górnej Orawie, w polskiej części kraju. Czescy turyści roją się latem w pięknych górzystych okolicach Słowaczyzny, Czesi biorą udział w słowackim ruchu narodowym a Słowacy znowu odwzajemniając się, zjeżdżają do Pragi na czeskie wystawy i uroczystości bardzo licznie. Wódz husytów na Górnych Węgrzech *Giskra z Brandysowa* wielbiony jest po dziś dzień jako bohater przez lud słowacki, podczas gdy ten lud złorzeczy pamię-

ci wojewody Ścibora Ostoji ze Ściborzyc, „pana całego Wagu“, który go ciemiężył bardzo srogo. W okolicy *Beckowa* w Trenczyńskiem, gdzie miał Scibor siedzibę w wspaniałym zamku krąży między ludem podanie o nim, które spisałem wiernie na miejscu, opowiadane mi przez miejscowego starego Słowaka. Podanie gminne brzmi:

„Scibor, pan trzystu zamków, był wielkim wojewodą i najmożniejszym panem, z którym mógł się mierzyć tylko król nie lada jaki. Wspaniały zamek jego w Beckowie, piętrzący się na wysokiej skale nad Wagiem, bystro rwącym, przewyższał bogactwami i warownością swoją niejeden zamek królewski. Były w nim komnaty skąpane w srebrze i złocie a z bani wieżowej świeciło się też szczere złoto. W piwnicy leżały w worach nieprzebrane skarby. Wojewoda sam nie mógł ich zliczyć. Hulał sobie i bawił się wesoło wśród licznego dworu swojego. Wyprawiał wciąż łowy turnieje, zabawy i pijatyki, a był tak hardy, że biednych ludzi wiejskich, swoich poddanych wcale za ludzi nie uważał i obchodził się z nimi gorzej, niż człowiek twardego serca z bydlętami. Wyrządzał chłopom srogie, krwawe krzywdy, bano się okrutnika gorzej niż ognia. Nic u niego nie było niemożliwem. Tak też powstał zamek jego w w Beckowie na stromej, krętej skale.

(Ciąg dalszy nastąpi).

* * *

W powyższej sprawie otrzymujemy następującą korespondencyę:

Andrychów w Galicyi, 12. 3. 1910.

Czytając w szacownym Waszym tygodniku artykuł p. t. „Zapomniany lud polski“, przypomniałem sobie z młodych lat jeszcze śpiewkę, którą może przychylnie ogłosicie:

Ja do lesa, ja do lesa, ja do lesa ne pudu;
Driwi rubac, driwi rubac, driwi rubac, ne budu!
Driwi by mia zabyło;
Szto by Diwcza robyło!
Hej la la la la. Hej la itd.
Hej! Diwczata czujece? [1])
Czy na otawu pudece? [2])
I ja pudu za Wama,
Nakosim wam otawa!
Hej nakosim, nakosim;
Na kupoczku naznosim!
Jak do doma pudece;
Chotowu met budece!
Hej la, la, Hej la, la, ty diwczatko budesz ma!

Jak to serce boli! My tak blisko naszych braci Słowianów a niema ani jednej poczciwej dobrej duszy, któraby się zajęła opuszczonym i zapomnianym narodem słowiańskim. Dopiero z obcego zaboru naszej polskiej ziemi, z waszego kochanego tygodnika czerpiemy wiadomości z poczucia i godności słowiańskiej!

Cześć i sława Ci, kochany Panie Redaktorze!

Czołem! *Pukalski.*

P. s. Nie mógłbym przeboleć, aby nie nadmienić, że ten naród znam osobiście i mam dla niego wszelki szacunek! *A. P.*

[1]) Czujecie znaczy słyszycie.
[2]) otawa znaczy koniczyna.



Skałka w dolinie Wagu.

Dr. Stanisław Łabendziński.

Wykłady popularne.

VI. B.

Jaki jest bieg wody na ziemi?

Patrząc na wodę spadającą w postaci deszczu, gradu lub śniegu na naszą ziemię, nie zdajemy sobie zazwyczaj sprawy z ogromnej doniosłości, jaką ciało to tak zwyczajne i wszędzie obecne nietylko dla organicznego, lecz i nieorganicznego życia naszej ziemi przedstawia. Woda na globie naszym olbrzymią odgrywa rolę, pokrywając w oceanach i morzach cztery piątych powierzchni kuli ziemskiej, tak że lądy nasze raczej jako wyspy wśród zewsząd otaczających je wód uważać należy, a do tego występuje woda także w postaci źródeł, strumieni, rzek, stawów, jezior w pośród lądów samych, które gdzieniegdzie, jak we Finlandyi, w pojezierzach pruskich i litewskich, w Kanadzie, środkowej Afryce i wielu innych okolicach pokryte są niezliczonemi, często bardzo głębokiemi, zwierciadłami wód. Woda, dla ludzi, zwierząt i roślin do życia niezbędna, jest więc niemal wszechobecna, atoli nie jest ona w przeciwstawieniu do ziemi i innych ciał stałych nigdy w spokoju, lecz doznaje ciągłych zmian, nietylko miejsca, a więc zewnętrznych, lecz i dotyczących jej istoty, a więc wewnętrznych. Słońce, to źródło energii wszechświata, działa za pomocą swoich promieni cieplanych na wodę (jako i na każde inne ciało, znajdujące się w stanie płynnym) w ten sposób, że woda paruje t. j. przechodzi w stan skupienia lotny, zamienia się w parę i uchodzi w powietrze. Tego parowania zazwyczaj nie widzimy wzrokiem, gdyż pary, w które płyny przy wyższej temperaturze (przy temperaturze wzniesionej ponad punkt wrzenia danego płynu) przechodzą, są dla nas na ogół niewidzialne, dopiero skoro para wodna z powodu pewnych właściwości otaczającej atmosfery czyli powietrza się napowrót poczyna skraplać w postaci drobniuteńkich i lekkich kropelek wodnych, wtenczas parę tę znów dostrzegamy w postaci mgły lub deszczu. Z tego więc powodu, że woda na ziemi jest wszechobecna, wynika, że woda za pomocą słonecznego ciepła wciąż paruje i unosi się bezustannie w powietrze i tam się nagromadza. Ten przybytek wody w powietrzu ma jednak swoją granicę, której przekroczyć nie pozwalają jej dobrze nam znane prawa fizykalne. Przekonano się bowiem na podstawie licznych doświadczeń, że w każdej temperaturze tylko pewien stopień wilgotności powietrza ostać się może, ponad który powietrze wilgoci już nie przyjmuje, a nadmiar jej oddaje z powrotem w postaci skroplonej, a więc opadów atmosferycznych, jak deszczu lub śniegu. Powietrze, którem oddychamy, jest więc zawsze wilgotnem, i im bardziej jest ciepłem, tem więcej wilgoci może w sobie pomieścić, dla tego też w latowej porze na ogół mniej u nas jest opadów, niż zimą, kiedy to nawet znacznie mniejsze ilości wilgoci w powietrzu, spowodowane mniejszem parowaniem, już wystarczają, aby wilgoć w powietrzu doprowadzić do t. zw. stanu nasycenia i w postaci kropel wody na nowo sprowadzić je na ziemię. Woda nigdy i nigdzie więc nie znajduje się w spokoju, tylko doznaje ciągle ruchu, ciągle w kółko tej samej przemiany: woda paruje, uchodzi w powietrze, nasyca je wilgocią, tworząc obłoki i chmury, skrapla się i spada z powrotem na ziemię. Przy tem wiecznem krążeniu wykonywa ciepło słoneczne niezmierną pracę, podnosząc nieskończenie wielki ciężar wody do wysokości, dochodzących nieraz wyżej,

jak wzrokiem dosięgnąć możemy. Ta praca przez energię słoneczną wykonywana, nie idzie jednakowoż na marne, gdyż jak zaraz się dowiemy, możemy ją w innej postaci zużytkować. Woda nie spada zazwyczaj w tem samem miejscu w postaci opadu na ziemię, gdzie jako para wzniosła się w powietrze, gdyż wiatry, zawdzięczające swe powstanie także ciepłu słonecznemu, zapędzają chmury w inne zupełnie okolice, zazwyczaj górskie, gdzie chmury często tracą swój dalszy byt i jako deszcz opadają. Dla tego to też w górach więcej znacznie pada niż u nas, w nizinie. Obliczono, że jedna trzecia wody opadłej w górach, wsiąka w ziemię i na razie ginie, druga część przez powtórne parowanie unosi się znów w powietrze, a ostatnia część (a więc też tylko $^1/_3$ wszystkiej) w postaci źródeł stacza się z gór w doliny, tworzy strumyki, te znów łączą się w większe rzeki, i tak woda wykonuje pracę, mającą wielką doniosłość na urzeźbienie powierzchni ziemskiej. Staczając z gór wielką ilość kamieni i głazów, przyczynia się woda do ustawicznego zmniejszania wywyższeń na ziemi, i bez wątpienia w czasie wielkich okresów geologicznych i najwyższe pasma gór aż do poziomu morza bywają zniesione, z drugiej zaś strony osadza woda kamienie i szutr, piasek i glinę, przez tarcie w wodzie z głazów z gór zniesionych powstałe, w morzu, ustawicznie je wypełniając i dno jego podnosząc. Tak więc działa woda na powierzchni ziemi bezustannie i w niezmiernych rozmiarach „niwelująco“, góry znosi a morza wypełnia ziemią w postaci piasku i gliny. Ma woda także spadająca w górach w postaci strumyków, z powodu swego nagłego spadu taką siłę, że można ją z wielką korzyścią zużytkować dla pędzenia kół, i dzisiaj już wiele z takich wodospadów (np. w Alpach) oddaje człowiekowi swoje usługi przez wytwarzanie za pomocą turbin i dynamo-maszyn elektryczności, przez pędzenie młynów, tartaków i innych zakładów przemysłowych. Oprócz tej formy mechanicznej pracy słonecznej powraca energia do nas także w postaci ciepła przy skraplaniu się wody. Tak samo bowiem, jak przy parowaniu zużytą bywa pewna ilość ciepła (jak o tem każdy przekonać się może, biorąc na dłoń nieco płynu, który parując, zużywa ciepło i wytwarza uczucie chłodu), tak samo przy powrotnem skraplaniu się pary wodnej tworzy się ta sama t. z. ukryta ilość ciepła, tak więc, że przy deszczu podnosi się zawsze ciepłota powietrza t. zn. jak pada deszcz (i śnieg) powietrze się ociepla. Rozróżniamy różne rodzaje wody, mówimy, że woda jest miękką lub twardą, zależnie od tego, czy ma w sobie rozpuszczone sole, czy też nie. Tylko woda, znajdująca się w stanie płynnym skupienia (a więc tylko zwykła woda) ma zdolność rozpuszczenia chemicznego różnych ciał, specyalnie soli, w sobie, podczas gdy para wodna, znajdująca się w powietrzu i śnieg lub lód, właściwości tej nie posiadają i są od takich zanieczyszczeń wolne. Dla tego to więc świeżo skroplona woda, opadająca do nas w postaci deszczu (deszczówka) jest wodą miękką, również woda, uzyskana przez roztopienie śniegu lub lodu, podczas gdy woda, która przez dłuższy czas pozostaje w zetknięciu się z ziemią i skałami, wyciąga z nich sole różne (węglany wapnia, magnezu, siarczany i chlorki sodu, potasu i wiele, wiele innych soli chemicznych) i staje się tem samem twardą. Woda twarda dla niektórych celów przemysłowych jest często szkodliwą, wytwarza bowiem w kotle niebezpieczny kamień, trzeba więc ją z nadmiaru rozpuszczonych soli oczyścić, często jednak właśnie te sole dopiero nadają wodzie smak należyty (woda źródlana) i stanowią nieraz o wielkiej jej wartości leczniczej (źródła zdrowotne).

† Dr. Karol Lueger.

W pięknym, gotyckim ratuszu wiedeńskim we czwartek dnia 10-go bm. o godzinie 8 min. 5 rano skończył życie burmistrz stolicy Austryi Dr. Karol Lueger. Każde dziecko wiedeńskie zna dobrze to nazwisko, wie także, co to nazwisko oznacza. Cała ludność stolicy opłakuje utratę wielkiego burmistrza, jak nieszczęście prawie rodzinne.

Ale Dr. Lueger wybiegł swą działalnością i wpływem swej osoby daleko poza rogatki wiedeńskie. Jego postać rzuciła blaski na całe państwo, a jego myśli stały się programem mas całych, jego zaś działalność nadała polityce państwa kierunek. W czasach obecnych żaden polityk austryacki nie skupiał w sobie tak ogromnego kapitału idei i pracy, energii i zasług, co ów skromny, mieszczański burmistrz wiedeński. I tylko z historyi dowiedzieć się można o podobnych ogromach pracy i idei i tylko z czynów, które pozostawili, pojąć można wpływ, jaki oni na swe otoczenie wywarli. Dzisiaj, w dobie karłowacenia ducha, jednostki na miarę Luegera są zjawiskami wyjątkowemi. W całej Austryi był w obecnej chwili jeden tylko przedstawiciel tego typu, właśnie ów głośny na świat cały burmistrz wiedeński.

Imię Dra Luegera oznacza dla państwa nowy kierunek polityczny: chrześcijańsko-socyalny i antysemicki. Gdy w r. 1885 wszedł Dr. Lueger do parlamentu, jako poseł piątego okręgu wiedeńskiego, nie znano jeszcze w Izbie posłów antysemitów. Były to pierwsze wybory na podstawie reformy wyborczej, wprowadzającej cenzus 5 guldenów, a więc dającej prawo wyborcze drobnym kupcom i rękodzielnikom. Był to równocześnie pierwszy szturm ludowy w Wiedniu na barykady liberalizmu i żydostwa. Dr. Lueger wszedł do parlamentu jako pierwszy poseł antysemicki, jako przedstawiciel drobnego, pracującego i gnieconego przewagą kapitalizmu mieszczaństwa i jako posłaniec zbliżającej się burzy na zżydziały obóz liberalny.

Był sam. Równocześnie w Wiedniu wystąpili przeciw niemu t. zw. demokraci, walczący wprawdzie z wielkim kapitałem, ale nie z żydostwem. W Radzie miejskiej wiedeńskiej miał przy swym boku tylko dra Gessmanna. Przeciw sobie zaś cały rządzący Wiedeń, całą prasę niemiecką i całą potężną partyę liberalną i — konserwatywno-katolicką.

Rozpoczęła się walka, jakiej innej nie zna historya wewnętrzna Austryi. Setki i tysiące zgromadzeń w Wiedniu i na prowincyi, początki prasy antysemickiej, organizowanie klas średnich, robotniczych i włościańskich, praca nad stworzeniem programu — oto były dzieła najpierwsze w polityce Dra Luegera. O wywieraniu wpływu na politykę państwa nie było jeszcze mowy. W roku 1887 powstał „Związek chrześcijańsko socyalny“ w Wiedniu, skrystalizowała się idea reformy na gruncie chrześcijańskim. Były to czasy w Wiedniu dzikiej nienawiści do religii i wszystkiego, co miało nazwę chrześcijańską. — Słynnymi były też owe wieczory pogadankowe, po których duchowni rozchodzili się na prawo, a świeccy na lewo, by nie spostrzeżono ich razem i nie okrzyczano — za „klerykałów.“

Idea chrześcijańsko-socyalna zwyciężyła ostatecznie. Najpierw w Wiedniu, potem w Dolnej i Górnej Austryi, w Solnogrodzie, Tyrolu i Przedarulanii, a zapuściła silne korzenie we

wszystkich krajach koronnych Austryi. Obóz liberalny niemiecki, centralistyczny i antysłowiański zniknął z areny politycznej. Ani jeden z tej wszechpotężnej dawniej partyi nie zasiada dzisiaj w Izbie posłów. Jej następcy przyjęli nazwy wolnomyślnych i radykalnych, atoli od Luegera wzięli antysemityzm i program społeczny. Dzisiaj więc nawet stronnictwa Wolffa, Schönerera, Pradego i Schreinera, nawet stronnictwa niemiecko-narodowe są antysemickiemi. — I w tem leży także zasługa wiedeńskiego burmistrza.

W latach poniżenia idea chrześcijańska zatryumfowała w życiu politycznem. Przed laty 30 nikt w Austryi nie odważyłby się nazwać „chrześcijańskim,“ komu zależało na „dobrem imieniu.“ Religia uchodziła za zabytek z epoki ciemnoty. Wiedeń stał na czele giełdowego, żydowskkiego liberalizmu. A obecnie? W roku 1907 Dr. Lueger witał imieniem stolicy zjazd katolików austryackich, Dr. Lueger wprowadził zwyczaj poświęcania budynków miejskich, zawiesił w szkołach krzyże i święte obrazy i zbudował szereg kościołów. 96 posłów w parlamencie i 740.000 wyborców niemieckich przyznaje się do stronnictwa nazywającego się z dumą chrześcijańskiem. Chrześcijaństwu dopomógł Dr. Lueger do wielkiego tryumfu w Austryi, gdy równocześnie na Węgrzech, w Niemczech, Włoszech i Francyi z braku Luegerów obóz chrześcijański ponosi tylko straty.

Zniszczenie przewagi żydowstwa i kapitalizmu, to główna jego zasługa. Drobny rękodzielnik i chłop doszedł przez Dra Luegera do wpływu. Demokratyczny program partyi chrześc.-socyalnej zniszczył szranki kuryalnego parlamentu i wprowadził szerokie masy ludu do udziału w ustawodawstwie państwowem. Podobnie w sejmach i w radach miejskich. W parlamencie partya ta jest dzisiaj głównym czynnikiem pracy socyalnej, polityka gminna Dra Luegera stała się wzorem dla całego państwa.

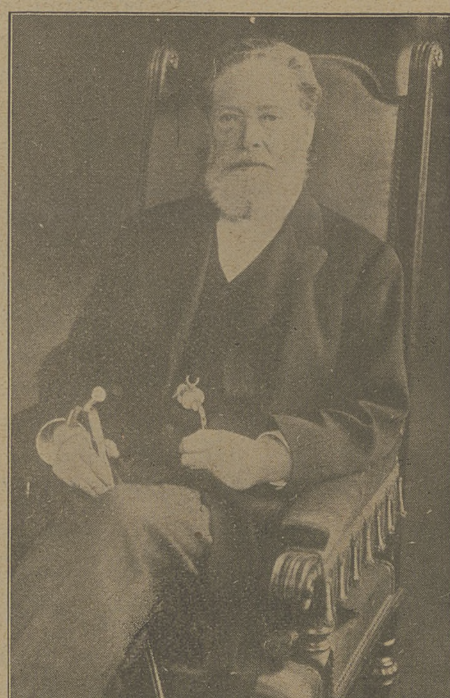
I wreszcie: w Drze Luegerze zwyciężył szlachetny, tolerancyjny typ Niemca austryackiego. Jego stronnictwo nie tępi dążeń autonomicznych, nie ciąży do Prus i nie napada na Słowian — ale pracuje z nimi, znosi się z nimi. Dr. Lueger obudził wśród Niemców patryotyzm austryacki, na którego gruncie spotkać się mogą wszystkie ludy Austryi we wspólnej pracy.

Gdy dzisiaj ten wielki mąż stanu, agitator i twórca zakończył życie, pełne trudu i chwały, przez całą Austryę przechodzi nastrój żałobny. Bo umarł wielki miłośnik swej ojczyzny i wielki przyjaciel ludu pracującego bez różnicy narodowości. I z tym smutkiem łączy się trwoga, czy znajdzie się godny po nim następca, któryby potężną partyą kierować umiał i chciał być jego wzorem. I czy znajdzie się taki wspaniały i tak szlachetny, nieskazitelny i wielki wódz katolików austryackich?

Wszystkie stronnictwa chrześc.-socyalne utraciły w nim żywy program pracy społecznej i politycznej.

* * *

Dr. Karol Lueger urodził się 24-go października 1844 r. w Wiedniu. Ojciec jego był dozorcą gabinetu techno-



† Dr. Karol Lueger.

logicznego przy politechnice wiedeńskiej.

Dr. Lueger był to jedyny syn. Oprócz niego posiadał ojciec trzy córki, z których jedna zmarła w młodym wieku.

W żyłach Dra Karola Luegera płynęła krew chłopska. Jego dziad Józef, gospodarował na roli koło Neustadt nad Dunajem.

W szóstym roku życia uczęszczał Dr. Lueger do szkoły ludowej, której dyrektorem był Weisskirchner, ojciec dzisiejszego ministra handlu.

Od tego czasu datuje się ścisłe nawiązanie serdecznych stosunków między rodziną Weisskirchnerów i Luegerów.

Mając lat 10, uczęszczał Dr. Lueger do Teresianum, jako uczeń przychodzący. — W szkole uczył się znakomicie tak, że zawsze był pierwszym uczniem w klasie.

W r. 1862 złożył maturę, a w roku 1866 ukończył wydział prawa na uniwersytecie wiedeńskim, nie mając jeszcze skończonego 22 roku życia.

Już jako koncypient adwokacki poświęcił się życiu politycznemu i występując na arenie publicznej w dzielnicy Landstrasse zdobył pierwsze laury jako znakomity i porywający mówca. Mowy jego odznaczały się niezwykłym humorem i szczerością, a opierały się zawsze na najszerszym programie demokratycznym.

W roku 1874 otworzył kancelaryę jako samodzielny adwokat.

W r. 1875 uzyskał po raz pierwszy mandat do Rady m. Wiednia, który odtąd nieprzerwanie piastował.

Wszedłszy do Rady miastą w 31 roku życia odrazu okazał się jednym z najwybitniejszych ludzi i temu zawdzięczyć należy, że stale wybierano go radzcą, gdyż zdolnościom jego i szczerości przekonań oddawali hołd najwięksi przeciwnicy.

W r. 1885 wybrany został posłem do Rady państwa. Odtąd mandat ten również nieprzerwanie piastował.

W r. 1886 uzyskał również mandat do sejmu dolno-austryackiego.

W r. 1895 wybrany po raz pierwszy burmistrzem miasta Wiednia, godności tej nie przyjął.

Wybrany atoli powtórnie w jesieni roku 1895 nie otrzymał zatwierdzenia cesarskiego tej godności wskutek interwencyi ówczesnego prezydenta ministrów Kaz. hr. Badeniego.

W r. 1896 wybrany został I. wiceburmistrzem, do czego już nie potrzebował sankcyi monarszej.

Kiedy atoli w r. 1897 ówczesny burmistrz antysemicki Józef Strohbach zrzekł się tej godności, wybrany został w jego miejsce Dr. Lueger i na stanowisku tem przez cesarza zatwierdzony, odtąd burmistrzostwo m. Wiednia dzierżył w swych rękach nieprzerwanie.

Z powodu jubileuszu cesarskiego otrzymał godność tajnego radcy z tytułem ekscelencyi.

Ostatni wybór ś. p. Luegera na burmistrza miasta Wiednia przypadł w roku zeszłym.

W ostatnim roku został też wybrany wicemarszałkiem Dolnej Austryi.

Ś. p. Lueger w ostatnich dwóch latach wskutek nadmiernej pracy niedowidział.

Od paru lat był chory na chorobę cukrową, do czego przyłączyła się choroba nerek.

Przed 2 laty na wycieczce celem oglądania II. wodociągu się przeziębił, co wzmocniło jeszcze chorobę nerkową, która stała się bezpośrednim powodem jego śmierci.

W ubiegły poniedziałek odbył się pogrzeb zmarłego burmistrza, pogrzeb jakiego jeszcze Wiedeń nie widział. Prawie cała ludność Wiednia brała w nim udział. Czarną trumnę metalową wyniesiono z hali ratusza i umieszczono na karawanie. Po mowie wiceburmistrza miasta, dr. Neumeyera, kondukt zaczął się posuwać ku Parlamentowi. Na czele szły oddziały miejskiej i ochotniczej straży pożarnej; dalej postępowały deputacye służby miejskich przedsiębiorstw, stowarzyszenia śpiewackie ze sztandarami, deputacye stowarzyszeń, korporacye studenckie, cechy. Kilkanaście wozów z wieńcami poprzedzało karawan, otoczony urzędnikami magistratu. Za karawanem niesiono łańcuch burmistrzowski i ordery zmarłego; następnie w powozach jechały siostry Luegera, żony wiceburmistrzów, dyrektora magistratu i Siostry Miłosierdzia. W dalszym pochodzie postępowali trzej wiceburmistrzowie z sekretarzami i radni miejscy, urzędnicy magistratu, reprezentacye powiatowe, prezydenci obu Izb Rady Państwa, członkowie Izby panów i posłowie do parlamentu.

Przed gmachem Parlamentu zatrzymał się kondukt, poczem zabrał głos wicemarszałek Freudenthal, wypowiadając mowę, w której podnosił stratę, jaką poniósł Sejm dolno-austryacki przez śmierć Luegera.

Przed godz. 1 udał się do tumu św. Szczepana cesarz i czekał w małej zakrystyi na przybycie pochodu, który przez Ringstrasse i Kaertnerstrasse po g. 1 przybył do katedry. Cesarz idąc w pochodzie do wielkiego ołtarza, zajął tam miejsce, przy nim zasiedli arcyksiążęta, dalej specyalni delegaci dworów i kapituła. Po drugiej stronie ołtarza zajął miejsce ks. kardynał Gruscha i nuncyusz papieski Granito di Belmonto, dalej dygnitarze dworscy, członkowie ciała dyplomatycznego, ministrowie, prezydent Izby posłów itd. Arcyksiężniczki zebrały się w oratoryum cesarskiem.

Po odprawieniu ceremonij żałobnych przez biskupa Nagla ruszył pochód na cmentarz, gdzie zwłoki burmistrza prowizorycznie pochowano obok matki. Wieńców było tysiąc kilkaset, wiezionych na 18 wozach.

Cierpieć nie mogę tych, co zakrzywiwszy główkę,
Chodzą jakoby z Panem Bogiem dziś gadali,
U których postać święta — hajduckie sumienie.

Krzysztof Opaliński.



Józef Chociszewski.

W sprawie złotego jubileuszu
Józefa Chociszewskiego

odbieramy następującą odezwę:

Bracia Rodacy!

W roku obecnym upływa pięćdziesiąt lat, jak senior polskich literatów

Józef Chociszewski

poraz pierwszy wystąpił jako pracownik na niwie narodowej, zapisując się w szeregi tych, który duszę i ciało, zdrowie i życie, majątek i mienie poświęcają dla dobra swoich rodaków, dla polskiego ludu. I z pewnością będzie rzadkością w naszym narodzie człowiek taki, któryby nie znał nazwiska Józefa Chociszewskiego, któryby już nie był czytał jakiej przez niego napisanej książeczki, lub któryby nie występował jako amator w jakiej przez niego napisanej sztuczce teatralnej. Tak! Imię tego najznakomitszego polskiego pisarza ludowego słynie tak dalece, jak język polski słynie, a ta sława splata dziś na sędziwą głowę 73-letniego starca wieniec laurowy.

To też my w tym roku juubileuszowym nie zapomnijmy złożyć czcigodnemu Jubilatowi serdecznej podzięki i czołobitności za te wszystkie trudy i pracę, tak szczerze podjęte dla nas biednych i opuszczonych, za te wszystkie **procesa, kary, olbrzymie koszta i długoletnie więzienie** przecierpiane w sprawach naszych narodowych. Droga jego życia była wysłana cierniem i głogami! Podczas gdy ludzie, którzy tylko dla siebie pracowali, są dziś majętnymi i opływają w dostatki, to on, czcigodny ten mąż, w biedzie i nędzy, o głodzie i chłodzie pracował dla swoich najbiedniejszych ziomków, a nagrodą jego za to były **cztery i pół roku fortecy i więzienia.** Wszystko, co miał, złożył na ołtarzu Ojczyzny, a dziś wy-

czerpany na zdrowiu, na siłach, na mieniu, nie spoczywa bynajmniej na różach.

Za miłość, odpłaca się miłością, za pomoc udzielaną w niedoli — wdzięcznością! To też każdy z nas, każdy kto w sobie nosi poczucie prawego Polaka, ten niech w tym roku jubileuszowym, temu wielkiemu nauczycielowi narodu polskiego, okaże swoją wdzięczność za te wszystkie trudy i mozoły tem, że nabędzie na pamiątkę jakie, przez niego napisane dziełko, które od niego wprost z Gniezna, gdzie zamieszkuje, albo też z jakiej księgarni sprowadzić może, Prócz tego jest pożądanem, żeby w roku jubileuszowym po polsko-katolickich Towarzystwach urządzano zebrania uroczystościowe z odczytami o życiu i pracy na niwie narodowej, wykłady ze świetlnymi obrazami, jako i odegraniem sztuczek teatralnych napisanych przez czcigodnego Jubilata Józefa Chociszewskiego *)

Dalej niech każdy Polak — czy to biedny czy bogaty — w dniu tegorocznych Imienin seniora polskich literatów

w uroczystość św. Józefa (19-go marca 1910)

nie zapomni o Nim w modlitwie, śląc mu równocześnie powinszowanie z dalekiej obczyzny.

Ażeby zaś nasz uwielbiany pisarz i od nas najbiedniejszych, dla których to prawie wyłącznie pisał i pracował, miał jaką jubileuszową pamiątkę, przeto upraszamy wszystkich zacnych Rodaków na obczyźnie, żeby — co kto może, choćby i najdrobniejszą ofiarę — złożył na ręce wybranego przez niniejszy Komitet Jubileuszowy, pana **Stanisława Jankowiaka** w Herne ul. Nowa (Neustr.) 35, aby za tę zebraną w ten sposób sumkę, wręczyć z obczyzny odpowiedni dar Temu, który przez całe życie składał hołd i ofiarę Bogu i Ojczyźnie, i który cierpiał za miliony.

Bracia Rodacy! My tułacze na obczyźnie pójdziemy tedy z Ojczyzną w zawody i będziemy się starali rok ten chwały Nestora polskich literatów uświetnić w sposób jak najuroczystszy.

Cześć wielkiemu pracownikowi na niwie narodowej!

Cześć męczennikowi narodu polskiego!

Cześć Józefowi Chociszewskiemu!

Herne, w lutym 1910.

Komitet Jubileuszowy.

---

*) W najbliższych dniach wyjdzie czcionkami drukarni J. Slaniny Herne-Horsthausen Gneisenau ul. nr. 1. Pamiątka złotego Jubileuszu Literackiego Nestora polskich literatów Józefa Chociszewskiego w Gnieźnie, ofiarowana ludowi polskiemu przez redaktora Piotra Palińskiego. Cena 25 fen.

Słynny proces o morderstwo.

Dnia 4-go bm. rozpoczął się we Wenecyi sensacyjny proces przeciw Tarnawskiej oskarżonej o zamordowanie swego kochanka, hrabiego Komarowskiego, względnie o namowę do morderstwa. Równocześnie zasiadają na ławie oskarżonych Naumow, morderca hr. Komarowskiego, adwokat moskiewski Pryłukow i pokojówka Perrier. Wielka sala sądowa przepełniona jest publicznością, wśród której znajduje się wiele cudzoziemek, przybyłych umyślnie do Wenecyi, aby być świadkami procesu.

Proces rozpoczął się punktualnie o godzinie 10 minut 40. Najpierw wprowadzono do sali oskarżoną Perrier; oskarżona jest małego wzrostu, szczu-



Pani Tarnawska.

płą i bardzo bladą. Wodzi ona niespokojnie oczyma po sali. Następnie przyprowadzono Tarnawską, ubraną starannie w czerni, z zarzuconą na twarzy woalką, której nie zdejmuje podczas przesłuchów wstępnych. W końcu zjawiają się Priłukow i Naumow. Ostatni drży cały, tak iż zaledwie chodzić może. Ponieważ wszyscy oskarżeni oświadczają, że językiem włoskim władają dostatecznie, proces toczyć się będzie bez tłumaczów.

Po stwierdzeniu personalij wszystkich oskarżonych nastąpiła przerwa do godziny 2 po południu. Posiedzenie popołudniowe wypełniło odczytanie aktów oskarżenia, nie zawierających nic nowego. Oskarża się Naumowa o morderstwo i noszenie broni bez zezwolenia policyjnego, Tarnawską i Pryłukowa o świadomy współudział w zbrodni, Perrier o współwinę. Gdy z oskarżenia czytano ustępy o Tarnawskiej jako o kurtyzanie wyższego towarzystwa nie sprawiało to na niej żadnego wrażenia. Publiczność nie okazuje jej sympatyi. Po orzeczeniu psychiatrów zaprzysiężonych, proces odroczono do dnia następnego.

Drugi dzień zajęły wnioski i uzasadnienia adwokatów w sprawie zawezwania nowych świadków. W tym czasie wszedł do sali sądowej ojciec Tarnawskiej, staruszek o niezwykle pięknej postawie z długą siwą brodą. Spokojnie zasiadł na miejscu zarezerwowanem.

Tarnawska nie spostrzegła go z początku; dopiero gdy usiadł, zobaczyła go nagle. Widok ojca wywarł na niej tak głębokie wrażenie, że poczęła zanosić się od płaczu.

Rozprawa obliczona jest na trzy miesiące, o ile nie zajdą nieprzewidziane wypadki. Przewodniczy radzca Trybunału Fusinato. — Broni sześciu adwokatów, zresztą Tarnawska miała w czem wybierać, otrzymała bowiem kilkaset ofert od adwokatów wszystkich miast włoskich. Olbrzymi jest napływ cudzoziemców na rozprawę.

W ogólności żaden proces, nawet słynny proces Lindy Murri — nie poruszył do tego stopnia opinii publicznej we Włoszech, co sprawa Tarnawskiej.

Podczas procesu ciekawość ogólną wzbudziło opowiadanie Naumowa o jego tragicznej idylli.

Poznał on Tarnawską w r. 1906 w Orle i tam też zapałał do niej miłością. Wkrótce potem udała się ona do Petersburga wraz z Komarowskim, w celu przeprowadzenia rozwodu.

Z Petersburga nadsyłała telegramy i listy, w których wyznała Naumowowi swą miłość, oświadczając, że Komarowski znudził się jej. Wkrótce przybyła do Orła i zawiązał się serdeczny stosunek pomiędzy nią a Naumowem.

O chwilach tych Naumow opowiada w następujący sposób:

„Udaliśmy się do Kijowa, a stamtąd do Ortwady z Perrier i starym służącym. Miłość moja wzrastała nieustannie. Byłem jej niewolnikiem, pomimo tego jednak hrabina robiła mi kilkakrotnie sceny zazdrości. Po kilku dniach powróciliśmy do Kijowa. Hrabina poprowadziła mnie na cmentarz, gdzie złożyła kwiaty na grobie swej matki. Przy tym grobie kazała mi przysiądz, że będę ją kochać zawsze i niepodzielnie.

„Udaliśmy się na inny cmentarz, by odwiedzieć grób Stahla.

„Hrabina opowiadała mi, że człowiek ten odebrał sobie życie przez nią, ponieważ nie chciała mu być wzajemną. Gdy mój urlop się skończył, powróciłem do Orła. Hrabina powiedziała mi, że udaje się do Londynu, i że spotkamy się później w Warszawie. Przed rozstaniem ofiarowała mi medalion z promieniem włosów, a ja jej dałem wzamian bransoletkę.

„Podczas tego życia rozstrzelonego, jakie prowadziłem, narobiłem dużo długów i żądałem często pieniędzy od mojej matki.

„Zamiast spotkać się w Warszawie, spotkaliśmy się w Wiedniu, gdzie był Komarowski.

„Kazała mi ona być nader ostrożnym, by nie dowiedział się on o mej obecności, zabraniała mi nawet wychodzić z hotelu. Spędzałem całe dnie przy oknie, by; ją ujrzeć z daleka.

„Pewnego razu zobaczyłem ją w towarzystwie wygolonego człowieka. Sądziłem, że to był ks. Trubeckoj. Tego dnia zamierzałem odebrać sobie życie. Zrobiłem jej scenę zazdrości.

„Hrabina oświadczyła mi, że ten człowiek był konsulem rosyjskim. Powróciliśmy do Warszawy. By spełnić zachcianki hrabiny, byłem wciąż w podróży. Stałem się komiwojażerem. Pokazała mi w Warszawie depeszę, podpisaną przez Komarowskiego, z której okazywało się, że wie on o tem, iż wciąż jej towarzyszę. Hrabina, która chciała uwolnić się od męża, namawiała mnie, by go wyzwać na pojedynek, co też jej przyobiecałem. Później jednak zmieniła zdanie i kazała mi zabić Komarowskiego.“

Podczas tych rewelacyj Naumowa, hrabina nie poruszyła się nawet. Wlepia oczy w Naumowa, lecz pozostaje obojętna. Naumow zaś wybucha łkaniem i jest bardzo przybity.

Publiczność krzyczy „dosyć, dosyć“, nie mogąc znieść tej wzruszającej sceny. Wiele osób płacze i nawet żołnierze strzegący podsądnych mają łzy w oczach. Prezydent chce przerwać indagacyę, Naumow jednak chce mówić dalej.

—. Prezydent: „Gdzie więc hrabina Tarnawska kazała panu popełnić zbrodnię?“

Naumow: „W wagonie, gdy wracaliśmy do Moskwy. Na razie zbuntowałem się. Grożąc mi jednakże, że wyjdzie za mąż za Komarowskiego, skłoniła mnie do ustępstwą i wydała odpowiednie rozkazy, jak się mam zachować w Wenecyi.“

Odtąd słowa Naumowa przerywane są łkaniem. Dodaje on:

„Radziła mi ona, bym ostrzygł wąsy i podarł swój paszpart. Gdy usłuchałem, powiedziała: „Teraz wierzę, że mnie kochasz prawdziwie. I ja również kocham cię.“

„Wyjechałem do Wenecyi, gdzie stanąłem w hotelu Danieli. Tam spostrzegłem, że jacyś nieznajomi śledzili mnie. Zrana udałem się wprost do Komarowskiego. Otworzono mi. Ujrzałem hrabiego i, nie powiedziawszy ani słowa, wystrzeliłem.“

Głos Naumowa staje się ostry.

„Przypominam sobie, że upadł i zapytał: „Dlaczego wystrzeliłeś? Co ci zrobiłem“? Przypominam sobie tę scenę ohydną. Usiadłem na kanapie. Przyczołgał się do mnie i powiedział: „Mój przyjacielu, zawołaj kogo“. Otworzyłem okno i zacząłem wołać o pomoc. Później obawiając się uwięzienia, uciekłem do Werony, gdzie zostałem ujęty.“

W tej chwili Naumow, podnosząc głos, zawołał:

„Panowie sędziowie, mówię prawdę i oto wszystko, co sobie przypominam. Być może jednak, że zapomniałem niektórych szczegółów. Moja pamięć jest zniszczona, podobnież jak i moje życie; przysięgam jednak, że to co powiedziałem jest prawdą“.

Podczas, gdy żołnierze wyprowadzali Naumowa z sali posiedzeń, rzucił się ku niemu jego ojciec, ściskając go. Cała ta scena wywołała wielkie wrażenie na publiczności.

Po przesłuchaniu Naumowa przystąpiono do przesłuchania Pryłukowa. Zeznaje tonem spokojnym w poprawnej włoszczyźnie; wymowa tylko sprawia mu pewne trudności, co zdradza cudzoziemca. Na wstępie opisuje swoje życie przed zawarciem znajomości z Tarnawską.

„Życie moje — mówił Pryłuków— było spokojne i pełne zadowolenia. Kochałem żonę i dzieci, spory rodzinne nigdy między nami nie zachodziły. W zawodzie swoim adwokackim miałem duże powodzenie, oraz cieszyłem się powszechnym szacunkiem. O Tarnawskiej opowiadał mi pewien przyjaciel, przedstawiając ją w świetle niekorzystnem. Tarnawskich poznałem znacznie później w majątku ich w Ostradzie, położonym w pobliżu Kijowa. Krążyły wówczas pogłoski, że pożycie ich małżeńskie jest nieszczególne. Pogłoski te potwierdziła wkrótce sensacyjna wiadomość, jakoby hrabia zastrzelił był z zazdrości jednego ze swych przyjaciół. Po aferze tej wezwała mnie hrabina do siebie, w celu zasięgnięcia porady prawnej co do ew. procesu rozwodowego. Wkrótce potem wyjawiła mi w jednym z listów swoją bezgraniczną ku mnie miłość. Odpowiedź moja była odmowna; wykazałem, że nie mogę być jej kochankiem, choćby tylko ze względu na dzieci, którym chciałem pozostawić dobre imię. W głębi serca wszakże poczęło się budzić jakieś gorętsze uczucie, które z biegiem czasu rosło, olbrzymiało, a które podczas pobytu w Moskwie popchnęło mnie w jej objęcia. Wszedłem więc na pochyłą drogę, po której staczałem się, początkowo z silnym oporem, później w tempie przyspieszonem na dno nędzy. Gdy po zadzierżgnięciu z nią stosunków miłosnych, Tarnawska wezwała mnie, abym żonę i dzieci porzucił, oparłem się temu. To moje, początkowo odporne stanowisko, popchnęło ją do zamachu samobójczego; pod koniec 1905 roku zażyła większą ilość kokainy...

„Wkrótce po owej próbie samobójczej, poczęła podsycać we mnie zazdrość i zazdrością prześladować, namawiając mnie ponownie do opuszczenia rodziny. Opierałem się długo, w końcu jednak straciłem siły. Zamieszkałem z nią, a wreszcie doszło do tego, że zdefraudowałem powierzone mi przez jednego z moich klijentów 80 tysięcy rubli. Z pieniędzmi temi wyjechaliśmy za granicę. Tu zauważyłem, że w uczuciach swoich względem mnie ochłodła znacznie, że dokonuje się w niej jakowaś przemiana. Niezadługo też potem we Francyi nastąpiło rozstanie, ale tylko na krótko. W Wiedniu bowiem połączyliśmy się na nowo, i już razem udaliśmy się do Berlina. W Berlinie oświadczyła mi, że zamierza wstąpić w związek małżeński z hr. Komarowskim. Wiadomość ta była dla mnie bolesną niespodzianką. Myślałem o samobójstwie. Gdy jej to wyjawiłem, Tarnawska usiłowała podtrzymać mnie w tym zamiarze; usiłowała to także pokojówka jej, Perrier, mówiąc: „Widzi pan, jak bardzo hrabina cierpi; oszczędź pan jej tej męki! Jeżeli pan umrze, czcić będzie pamięć pańską, jako świętego“. (Poruszenie w audytoryum). Pod wpływem tych przejść, powziąłem stanowczy zamiar, ażeby się z więzów tych uwolnić; postanowiłem opuścić ją potajemnie, ale... zabrakło mi sił. Pozostałem przy niej, a ona powoli, systematycznie poczęła podsuwać mi plan zgładzenia hr. Komarowskiego. Plany swoje argumentowała niechęcią do Komarowskiego, że K. zamęcza ją swoją miłością, że musi się go pozbyć za wszelką cenę. Uwierzyłem jej i oświadczy-

łem gotowość do uwolnienia jej od znienawidzonego prześladowcy. Następnie wspomniała coś o jakimś zabezpieczeniu na życie, nie wiedziałem jednak, że chodzi tu o hr. Komarowskiego"...

Oskarżona Tarnowska napisała w więzieniu pamiętniki, w których przedstawia siebie jako istotę bez woli, słabą, ulegającą suggestyom. Z opisów życia, jakie podała w pamiętniku, wynika, że po wyjściu za mąż pędziła wraz z mężem życie w ciągłych zabawach i podróżach. Ciekawe są niektóre epizody, jak np. z Stefanem Bożewskim, który zginął potem z ręki Tarnawskiego. Pamiętnik opowiada: Tarnawski był doskonałym strzelcem i często strzelał kulami do rozmaitych przedmiotów, położonych na głowie żony. Raz, aby ją nastraszyć, odstrzelił jej kosmyk włosów. Pewnego dnia, kiedy Tarnawski pojechał do Kijowa, przybył z wizytą Bożewski z pewną rodziną z sąsiedztwa. Ulubioną zabawą całego towarzystwa było trafianie kulami do celu, którym najczęściej były butelki. Bożewski, nabijając strzelbę, wyznał Tarnawskiej swą miłość, a gdy ona uważała to za żart, oświadczył jej, że jeżeli ona nie odwzajemni mu się uczuciem, to strzeli sobie w łeb. — Na to ona zaczęła żartować i utrzymywać, że tak wszyscy mężczyźni mówią, a jednak żaden sobie z miłości w łeb nie strzela. — Wtedy Bożewski, który właśnie w tej chwili nabijał strzelbę, położył lewą rękę na otworze lufy, a nogą pocisnął cyngiel. Strzelba wypaliła i kula przeszyła mu dłoń miażdżąc kości. „Tak, jak teraz przestrzeliłem rękę — rzekł — tak przestrzelę głowę, jeżeli mi pani wzajemną nie będzie." Po wyzdrowieniu, w parę miesięcy, Bożewski napisał do Tarnawskiego list, w którym mu oświadczył, że żonę jego kocha, radził mu starać się o rozwód i w końcu zaproponował pojedynek. Tarnawski uprosił wówczas żonę, aby sprawę z Bożewskim pokojowo załatwiła i rzeczywiście się też to udało, poczem wszyscy troje pojechali do teatru a stamtąd na kolacyę, po której Bożewski z Tarnawskim się ucałował na znak zgody i został zaproszony na dzień następny na śniadanie.

W kilka chwil potem poczęto się żegnać i miano się rozstać. Panowie odprowadzali panie do karety. Bożewski otworzył drzwi od karety i wsadzał panią Tarnawską. Za nim z tyłu stał Tarnawski. W tem rozległ się wystrzał, a Bożewski padł, krwią swoją obryzgując futro i suknię Tarnawskiej. Okazało się, że mąż strzelił z rewolweru w głowę Bożewskiego. Powstał krzyk, alarm, nadbiegła policya, nadjechała kareta pogotowia ratunkowego; Bożewskiego odwieziono do szpitala, a Tarnawskiego do więzienia. Bożewskiego na razie wyratowano; wyjechał na kuracyę do Krymu, poczem wkrótce umarł wskutek otrzymanej rany.

Tadeusz Mielcarzewicz.

Nowości beletrystyczne.

(Dokończenie).

Wspomnieliśmy niedawno na tem miejscu o czterech seryach nowel tatrzańskich *Kazimierza Tetmajera: „Na skalnem Podhalu"*, oraz o tem, że serya piąta tych utworów znajduje się w druku. Otóż tom ten opuścił już prasę drukarską. Objętością nie dorównywa swoim poprzednikom, natomiast pod względem wartości wewnętrznej nie ustępuje w niczem tamtym. Zarówno obrazki „Za sytko" i „Dziś tu cicho", jak i opowiadania: „Bez co się święci dostali na Kępę" i „O Panu Jezusie i zbójnikach" stoją artystycznie na tym samym poziomie, co dotychczasowe szkice i obrazki podhalańskie Tetmajera. Znachodzimy tu to samo co i tam głębokie znawstwo pierwotnej duszy ludu góralskiego, tę samą siłę w odtwarzaniu całego tego poetycznego świata tatrzańskiego, ten sam wreszcie wiernie oddany język podhalański. Do zbiorku dołączono balladę z cyklu „O Janosiku" p. t. „Jak Janosik tańczył z cesarzową".

Z przedmowy do niniejszego tomu dowiadujemy się z żalem, że z wyjątkiem pierwszego wydania pierwszej seryi, „Na skalnem Podhalu" nie znalazło wielu nabywców pośród czytającej publiczności. Smutny to objaw! — Piątą seryę poświęca Tetmajer pamięci „Homera Tatr", Sabały, który, jak autor zaznacza, był „krynicą niewyczerpaną takiego swoistego bogactwa językowego, jakiego się nie spotyka. Nikt nigdy nie będzie tak mówił po góralsku, jak on, i styl jego wiecznym i najdoskonalszym pozostanie wzorem góralskiej mowy".

Godzi się wspomnieć tu jeszcze choć pokrótce o dwóch wartościowych tomach nowel: *Jerzego Żuławskiego* i *Zygmunta Bartkiewicza.* Żuławski, znany i uznany już poeta, zebrał dawniejsze swoje, w rozmaitych czasach (1895 do 1902) prozą pisane opowiadania w jedną całość i wydał je pod wspólnym tytułem *„Kuszenie szatana"*. Naszem zdaniem najlepszą tu jest nowela „Pax" (odznaczona w roku 1896-ym na konkursie „Czasu") stwierdzająca w formie artystycznej znaną prawdę, że na tym świecie nie ma szczęścia i pokoju, a prawdziwe zadowolenie znaleźć można tylko w prostej i głębokiej wierze. — Ale i inne opowiadania bynajmniej nie czynią poecie, autorowi „Erosa i Psychy", „Dyktatora", itd. wstydu, ani pod względem piękności języka, ani co się tyczy oryginalnych pomysłów i ich wykonania. — Niektóre zbyt refleksyjne utwory mogą nieco znużyć czytelnika, szukającego w książce o charakterze belestrtycznym chyżo płynącego opowiadania, a jaknajmniej filozofowania, zastanawania się nad tem „co to jest ludzkość"?, „co stanowi istotną treść życia" itp. Poruszanie takich zagadnień nie zmniejsza oczywiście wartości literackiej książki, głębiej myślący czytelnik pzyjmie je z żywem zadowoleniem.

Zygmunt Bartkiewicz wystąpił z nowym tomem nowel i szkiców p. t. *Psie dusze* (tytuł nadaje książce pierwszy obrazek zawierający opis psiego cmentarza w Paryżu). Autor ten jest wprawdzie dopiero debiutantem na arenie nowelistycznej, ale pomimo to zdobył sobie „wstępnym bojem" sympatye czytelników. Mówimy tu o pierwszej jego książce, o „Słabych sercach", nowelach, które zalecały się szczerym realizmem, stylem zamaszystym i jędrnym humorem. Chociaż nie powiemy, aby *„Psie dusze"* w porównaniu z poprzednim tomem zaznaczały jakiś postęp w rozwoju pomysłów i środków artystycznych autora, to jednak i ten zbiór obrazków daleki jest od pospolitości, a zjednywa temi samemi zaletami co „Słabe serca", więc śmiałem ujęciem znamiennych objawów życia, współczuciem dla istot nie umiejących staczać walk z nędzą życiową, barwnem uwydatnieniem najrozmaitszych środowisk, wreszcie satyrycznem zacięciem. Bartkiewicz jest autorem mającym istotnie coś do powiedzenia, pisarzem, któremu w objawieniu swych myśli i spostrzeżeń nigdy nie zabraknie dosadności wyrażeń, odpowiedniej formy i miary artystycznej. — —

W końcu pragniemy sprostować błąd, jaki nam się zakradł do naszych „Now. beletrystycznych" w nr. 50 „Pracy". Referowaliśmy tam o ponownem wydaniu wiązanki nowel *Maryi Krzymuskiej* (Theresity), pisanych w duchu i pod wpływem Przybyszewskiego, p. t. Stygmat. Zarazem podaliśmy wiadomość, że autorka „Stygmatu" umarła w roku 1901-ym. Otóż tak nie jest. W roku tym zmarła matka autorki „Stygmatu", także *Marya* Krzymuska, i również wielka zwolenniczka Przybyszewskiego, któremu poświęciła w swoich „Studyach literackich" (wydano je po jej śmierci) entuzyastyczną rozprawę. Marya Krzymuska, autorka „Stygmatu" wyszła przed kilku laty za mąż za redaktora „Gazety Polskiej" p. Iwanowskiego w Chicago. Niestety nie uprawia już niwy nowelistycznej, na której tak pomyślne poczyniła kroki; nie potrzebujemy atoli zbytnio nad tem ubolewać, bo choć z jednej strony ponosi przez to pewien uszczerbek literatura piękna, to z drugiej zyskują na tem nasi rodacy w Ameryce, — pani Marya poświęca bowiem wszystkie swoje siły uciążliwej, ale szczytnej i owocnej pracy nad oświatą ludu na obczyźnie, gdzie jest redaktorką „Zgody" (wychodzącej w Chicago) i korespondentką Pism Związkowych.



Wjazd Pana Jezusa do Jerozolimy.

Niedziela Palmowa u ludu.

W dni dorocznych drużynie
Już od wieków nam słynie
Owa Kwietnia niedziela,
Co od Świąt nas oddziela;
Taka wdzięczna, urocza
Wśród niw polskich roztocza,
Tak witana jak wiosna
Po dniach smutku — radosna.

Niezwykły urok posiada to święto, poprzedzające bezpośrednio Wielki Tydzień. Zda się, że niesie z sobą zapach nowej wiosny. Bo też to już święto wiosenne. Kościół święci dnia tego najwcześniejsze dary odradzającej się przyrody — to, czem najpierw uśmiecha się zmartwychwstające życie ziemi. Błogosławi „palmy“, uwite z srebrzysto-białych bazi wierzbowych i lśniąco szarych kitek trzciny rzecznej. To też niedziela palmowa czyli kwietnia, lubo nie posiadająca cechy święta uroczystego, na wsi bywa solennie obchodzoną; jest też dniem, do którego lud przywiązuje mnóstwo wierzeń i zwyczajów. Przedewszystkiem dotyczą one owych „palm“, które gdzieniegdzie urastają do rozmiarów okazałych pęków, wchodzą w nie bowiem jeszcze tatarak, kłokoczyna i inne rośliny.

Gdy po nabożeństwie powrócą z niemi pasterze, którzy je zwykle niosą do kościoła, obchodzą nasamprzód dom trzy razy, uderzając palmą trzy razy o każdy węgieł, aby w domu nie było much i robactwa. Potem idą do stajni, gdzie mieszają palmą w żłobach, aby choroba bydłu szkodliwa w nich się nie ukrywała, krowy nią omiatają, aby się ich nie chwytała zaraza i koniom ocierają nozdrza, aby żadnej choroby nie powąchały. Krzyżyki zrobione z palmy umieszczone na kalenicy strzechy, chronią chatę od piorunów, a zatknięte na roli, odwracają od niej chmury gradowe. — Palma postawiona w oknie, odpędza złe duchy. Bazie wierzbowe, wchodzące w skład palmy, mają także zbawienne właściwości. W niektórych wsiach każdy z domowników połyka po jednej bazi od febry, po trzy zaś od bólu gardła. Dają je również bydłu z ziemniakami. W innych stronach rzucają bazie do zboża, które ma być wysiane. Bata zaś, którym palma była związana, używają pasterze przy pierwszem wygnaniu bydła na paszę. Utrzymują w niektórych okolicach, że pasterzy, wyganiających po raz pierwszy bydło, dyabeł zaczepia, a strzelanie biczem święconym go odpędza.

W niektórych okolicach, między innemi w Wielkopolsce, przechował się zwyczaj połykania pączków wierzbowych, czyli jak je nazywają „baziek“. O starożytności tego zwyczaju dowodzi wzmianka, uczyniona przez Mikołaja Reja z Nagłowic: „W Kwietnią Niedzielę kto baźki z palmy Wielkanocnej nie połknął, ten zbawienia nie otrzymał“.

Kazimierz Kalinowski.

Zdeptane palmy pokoju.

LEGENDA.

Uznojeni jeszcze po codziennych życia trudach — zgromadzili się męże, czysto przyodziani w świetlicy białej świeżo wymiecionej odświętnie. I pozdrowiwszy się wzajemnie, zasiedli za stołem długim, aby pożywać wieczerzę Pańską, jako w ich księgach świętych przykazane było.

A wtem niejednemu wypadła garść srebrników z węzełków, pod odzieżą krytych — i z brzękiem rozsypała się pod stołem.

Wrzawa wszczęła się na to i od jadła porwali się męże gromadą, wykrzykując społem — jako Judasze są wpośród nich za stołem, niektóry zasię po grosiwa kupkę poskoczył i srebrnikami ciskając wzgardliwie w onych, do których należały, lżył ich, zdrajcami zowiąc i sprzedawczykami. Ten i ów nic nie odparł krzyczącym, jeno spiesznie zgarniał i chował swoje pieniądze, inny znowu przeliczał uronione, nie dbając o przezwiska. Aliści był niektóry, co się bronić próbując, wszczynał zwady z tamtymi.

Głośna tedy wynikła zaraz kłótnia, w którą wmieszali się wszyscy z za stołu, coraz zajadlej jedni na drugich nastając. Ci zdradę wyrzucali tamtym, plwając w oczy za frymarkę świętościami największemi, jakie mieć mogli, a z jakich oni teraz, z grzechu zdrady chcąc siebie oczyścić — drwili jawnie i głośno, czem jeno spór zaogniali, najspokojniejszych i najcierpliwszych wyprowadziwszy z równowagi swemi bluźnierstwy. Więc już gromada cała na przedajną garstkę rzuciła się wzburzona z gołemi pięściami, lecz noże w zdradzieckich rękach dojrzawszy — na dwór wybiegła, broni szukając do walki... I wnet bój zawrzał krwawy, a mściwości wzajemnej nie [illegible] dać było kresu — ile że strony obie pomoc wraz nalazły i coraz gwałtowniej wojowały z sobą nadal.

Nikt zaś nie postrzegł nawet, że męże wypadłszy z domu, barami własnemi wytrącali z wrót godła pokoju, jakie tam świeżo matki z dziećmi zatknęły w postaci palm poświęcanych; w zamęcie walki sami po nich, nie wiedząc, deptali ciężkiemi stopy.

A kiedy mocniejsi słabszych ścigać poczęli i bój zacięty potoczył się dalej na pole, skowronki strwożone zerwały się z roli i umykały precz od wojowników: aż podle domów opuszczonych szukały na chwilę schronienia — szare śpiewaki spłoszone. Wtedy to z nich jeden, ujrzawszy palmy, sromotnie przed progami podeptane, podjął dzióbkiem gałązkę z ziemi i uleciał z nią podniebnym szlakiem w dal niezmierzoną...

Nie dziwili mu się towarzysze. Wszak ci to skowronek na Golgocie wyrwał cierń z korony męczeńskiej na skrwawionej skroni Zbawiciela wiszącego na krzyżu. Cierń spadł na naszą ziemię i utkwił w niej korzeniami głęboko, szeroko, aż z nich wierzby wyrosły, by co rok wczesną wiosną można było z ich gałązek szaremi baziami zdobnych gęsto, palmy wić w kwietnią niedzielę. Nie dziwiły się tedy towarzysze skowronkowi, gdy w niebo z palmą, przez wojowników zdeptaną, uleciał i zniknął w obłoku. On tam skargę zaniósł bolesną, rozpaczliwą... A jego brać śpiewacza, żaląc się nad pobojowiskiem czekała, a wyglądała — rychło-li kara wielka sprawiedliwości Bożej spadnie z niebios....

Wrócił nakoniec ptak rozśpiewany z obłoków. Towarzysze kołem otoczą go po powrocie z przed Boskiego tronu, a on im opiewa, jako widział i tym razem w oku Pana łzę przebaczenia i słyszał słowa, miłości pełne: „Albowiem nie wiedzą co czynią!..“

Zamilkła rzesza śpiewaków rozżalonych nad pobojowiskiem krwią bratnią dymiącem.

Z bólem odtąd pogląda na palmy poświęcane, a deptane sromotnie ciężką mężów stopą, lecz nigdy przed tron Niebios Pana skarg już nie zanosi — jak wonczas... Jeno słucha codzień — zali z siół leci w błękity głos dzwonów wiary...

A raz do roku, kiedy w Wielki Piątek cisza martwa zalega kraj cały, skowronki zaniepokojone, gdy od wsi nie usłyszą codziennego dzwonienia — wzbijają się nad role czarne i śpiewają głośnym chórem „Ojcze nasz“ tylokrotnie — póki nie zabrzmią dzwony rezurekcyjne...

Gdyby człowiek chciał i mógł ciągle pamiętać o tem, co winien niezliczonym źródłom swej siły i szczęścia, byłby niezmiernie dobrym i niezmiernie skromnym. Ale on łatwo zapomina o tych swoich długach, a to zapomnienie daje mu złość i dumę.

Aleksander Świętochowski.

* * *

Pokój a próżnowanie wielcy to skaziciele człowieka.

Łukasz Górnicki.

Jan Kasprowicz. („Chrystus“).

Golgota..

I przywiedli go na miejsce Golgota, co się wykłada: miejsce trupich głów.
Św. Mar. XV. 22,

A ci, którzy mimo chodzili, bluźnili mu chwiejąc głowami swojemi.
Św. Mat. XXVII. 33.

A o godzinie dziewiątej zawołał Jezus wielkim głosem: Eloi! Eloi! Lamma sabachtani, co się wykłada: Boże mój! Boże mój! czemuś mnie opuścił!
Św. Mat. XV. 34.

Zasię przywiódłszy na puste go wzgórze,
Co od głów trupich zowie się Golgota,
I zdjąwszy suknie — w królewskiej purpurze

Gwoli igraszki lśnił monarcha świata,
Co świat owładnąć pragnął sercem swojem —
Na krzyż przybili krwawą ręką kata.

I na skroń bladą, owiniętą zwojem
Cierni i głogów, pluje tłuszcza podła,
Mieszając ślinę z krwi przeczystym zdrojem...

I tak go między zbrodniarzy przywiodła
Myśl, co się rwała kawałami serca,
By duchom ludzkim nowe stawić godła!

I tak to w miejsce kwietnego kobierca,
Na którym spocząć winien prorok wzniosły,
Droga krzemienna i szczyt — trupożerca. —

I barwne tłumy wciąż rosły i rosły:
Bogaci w szaty, obszarpańce wstrętni,
A wszyscy śmiechu i urągań posły.

Na głuchem wzgórzu dzisiaj życie tętni,
Lecz życie zbrodni; tu, gdzie ani trawy,
Że serce bije coraz smętniej, smętniej.

Zgraja w radośne rozkłębia się wrzawy:
Pieni się, klaszcze, chichocze, lży, wyje,
Że aż zamiera w gardłach głos chropawy;

Rozpiera łokcie, w górę wznosi szyje
Krzycząc: „Niech ujrzym!... Oto idą straże!...
Ustąpcie!... Dalej!“... Syczy, jak te żmije,

Jak w lód rzucona stal, gdy cała w żarze;
Plwa, zieje, wrzeszczy, jako psiarnia szczeka,
Jelenia w pustym złowiwszy obszarze:



W palmową niedzielę.

„Ehej!... spojrzyjcie na tego człowieka!
Syna bożego!... Króla Izraela!...
Który — nauczał — na tron judzki czeka! —

Hej! królewskiego-ś doczekał wesela!
Na wyniesionym, hejże! jesteś tronie,
A władzę z tobą dwóch łotrów podziela!“ —

W ukrzyżowanych bowiem łotrów gronie
Konał ten Czysty, ten Człowiek bez winy, —
Którego dusza jak świt jasny płonie —

„Jedynowładnym jeźliś tej krainy,
Pokaż!... z cedrowej zstąp teraz stolicy,
A przyjmą ciebie Dawidowe syny!

A jeźliś mówił: „Rozwalę świątnicy
Kamienne szczyty i w trzech dniach jej mury
Wzniosę na nowo“, rozkaż błyskawicy,

Niech gromem spadnie z nadkarmelskiej góry,
Rozedrze krzyż twój i ciebie w swym blasku
Postawi żywym i wróci znów w chmury, —

Na galilejskiem wyrosły śmiecisku,
Pyszałku nędzny!... Psem w ciasnej obroży
Było strzedz tobie, ku dzieci igrzysku,

Nazareńskiego podwórka!... Syn boży!...
Wstrętny bluźnierca!... Oto jak go słucha
Ten Bóg... ten Ojciec... nasz!!!“‘ I tak się sroży

Wśród czarnych mętów ludzkich serc i ducha,
Pokalanego zawiścią i zdradą,
Ta nawałnica... A na krzyżu głucha

Zwolna zamiera pieśń boleści... Bladą
Twarz ściągłe bruzdy rysują: to skonów
Duchy swe ręce lodowate kładą —

I całe ciało, jak narzędzie tonów,
Drży... Każden muskuł, każda drobna żyła,
Jako ta struna, pośród milionów

Wibracyi drży... drży... Ach! to skarga była,
Że ci krzyżują, rzucają nań ślinę,
Których chciał zbawić... A potem jej siła,

Ukryta w duszy posępną głębinę,
Rośnie, wciąż rośnie, aż w rozpacz wyrośnie —
Mistrz śmierć odpycha i zwróciwszy sinę

Oczy ku niebu, zajęczy rozgłośnie:
„Eloi! Eloi! Lamma sabachtani —
Przecz mnie-ś opuścił? Boże! Boże!...

Co się przez butę i bezład zwaliło, to podźwigną zaparcie się siebie, wiara i praca cicha.

Wojciech Dzieduszycki.

Piłat u grobu Chrystusa.

I.

Przed świętem Paschy, Jezus Nazareński został ukrzyżowany wraz z dwoma łotrami.

W chwili, kiedy cudotwórca z Galilei skonał na krzyżu, w świątyni Salomona zasłona rozdarła się od góry do dołu; ziemia się zatrzęsła i wśród jasnego dnia uczyniła się noc...

Piłat z Pontu, zarządzający Judeą w imieniu Cezara, wydawszy wyrok śmierci na Galilejczyka, zamknął się w najdalszych komnatach swego pałacu i nie puszczał do siebie nikogo.

Przed zamkniętemi drzwiami siedziała skulona Klaudya Prokula, młoda żona prokuratora, i rozdarłszy szaty na sobie, rozpaczała:

— Zamordowałeś sprawiedliwego! Zamordowałeś sprawiedliwego!

Zrazu Piłat, przekonany o niewinności Galilejczyka, chciał Go ratować przed nienawiścią żydów. Wychodził do ludu, powtarzając jedne i te same słowa:

— Nie widzę w Nim żadnej winy.

Chcąc wzbudzić litość w żydach, kazał biczować oskarżonego, ukoronować Go cierniem i oblec w purpurę, a kiedy ów Męczennik zniósł w milczeniu ból i zniewagi, Piłat polecił wyprowadzić skrwawionego na Forum i wskazał Go ludowi, mówiąc:

— Oto człowiek!

I to odwołanie się do lepszych uczuć, drzemiących w duszy ludzkiej, pozostało bez skutku, wówczas namiestnik rzymski, chcąc ocalić niewinnego, dał do wyboru żydom między umęczonym Nazareńczykiem, a niecnym zbójcą.

Ale lud żydowski nie znał litości i przechyliwszy się na stronę złoczyńcy, żądał śmierci Chrystusa.

— Ukrzyżuj Go, ukrzyżuj! — wrzeszczała zaślepiona tłuszcza.

Piłat musiał postąpić wbrew własnemu przeświadczeniu i kazał ukrzyżować proroka z Galilei.

Jezus konał.

Chwilę tę zaznaczyły cuda na ziemi i niebie. W Jerozolimie panował mrok, popłoch i przerażenie; Rzymianie korzyli się przed posągami bogów, żydzi schronili się do świątyni Salomona, wierząc temu, co mówili kapłani, że Jehowa objawia swój gniew za to, że tak długo pozwolili Nazareńczykowi bluźnić przeciw Imieniu Boskiemu.

Uczniowie i wyznawcy proroka z Galilei pozamykali się w domach i bolejąc nad Jego śmiercią, uważali, że cała natura uczestniczy w ich strapieniu. Ktokolwiek jednak stał pod krzyżem i oglądał zgon „Króla żydowskiego,“ czy to żyd, czy Rzymianin, czy zwolennik nowej nauki, wierzył i mówił:

— Zaprawdę, ten był Synem Bożym!

Piłat z Pontu zamknął się w samotności, i zakrywszy głowę togą, słuchał żałosnego biadania żony:

— Zamordowałeś sprawiedliwego! Zamordowałeś sprawiedliwego!

Nigdy jeszcze Klaudya Prokula w ten sposób nie przemawiała do męża. Młodą, nadzwyczajnej piękności Rzymiankę wydano wbrew jej woli za namiestnika Judei. Pogardzała nim za to, że się zgodził na ten wymuszony związek. Bezdzietna żyła w pałacu urządzonym ze wschodnim przepychem, ale Piłat, daremnie starał się pozyskać jej łaski, otrzymać życzliwe spojrzenie, wywołać uśmiech na usta. Prędzej mógłby tchnąć życie w zimny kamień.

Teraz stał się cud: martwy głaz ożył i przemówił.

Przybyli uczniowie Ukrzyżowanego i prosili, aby im pozwolono zabrać Jego ciało i złożyć je w skalistej pieczarze, tuż około miejsca kaźni.

Namiestnik wyszedł ze swojej komnaty blady, minął żonę, wspartą o drzwi cedrowe, wysadzane złotem, i udzielił uczniom Nazareńczyka żądanego zezwolenia. Było to wielkie ustępstwo, gdyż według prawa, skazaniec musiał wisieć na krzyżu przez trzy dni i trzy noce.

Nazajutrz, wczesnym rankiem, oznajmiono namiestnikowi przybycie arcykapłana Kaifasza, człowieka, który chętnie dałby się przybić do krzyża, gdyby przez to był uznany przez swoich ziomków za Mesyasza i Syna Bożego. Piłat dumnie przyjął najwyższego dostojnika Judei i nawet skinieniem głowy nie odpowiedział na głęboki jego ukłon. Przebiegły żyd zaczął wysławiać mądrość imperatora, który przysłał do Jerozolimy rządcę tak sprawiedliwego, dzięki temu zdrajca, mianujący siebie królem, otrzymał zasłużoną karę. Cały naród izraelski składa dzięki Cezarowi, ubolewa, że z jego plemienia wyszedł burzyciel i zapewnia niezwyciężonego imperatora o swojej wierności i przywiązaniu.

Piłat siedział nieporuszony na marmurowem krześle, okrytem purpurą i słuchał obojętnie miodowych słów arcykapłana.

— Czego chcesz jeszcze odemnie, żydzie? — zapytał zmęczonym głosem.

— Drobnostki jedynie: cesarskiej pieczęci i cesarskiej straży przed grobową pieczarą, w której bogaty Józef z Arymatei, z wiedzą i wolą prokonsula, złożył ciało Galilejczyka.

— Po co pieczęć? Po co straż?

— Gwoli ślepemu przesądowi motłochu — pokornie odrzekł arcykapłan.

— Ten fałszywy cudotwórca mawiał: „Umrę, ale trzeciego dnia zmartwychwstanę;“ jeżeli nie zapobiegnie się temu, lud gotów uwierzyć, że przyszedł nowy Bóg, większy i potężniejszy niż wszystkie inne. Dostojny namiestnik przeszkodzi temu, jeżeli każe przyłożyć pieczęć cesarską na drzwiach jaskini i postawić straż przed grobem ukrzyżowanego Galilejczyka.

Piłat zadumał się głęboko; wzrok miał zagasły, powieki przymknięte. Kaifasz stał przed nim, czekając pokornie na odpowiedź i uśmiechał się zjadliwie, cynicznie z pobladłego oblicza i zawiędłych ust namiestnika cesarskiego. Nie żyd Kaifasz sądził i skazał na śmierć żyda, Jezusa Nazarenskiego, lecz Rzymianin, Piłat z Pontu, więc na głowę Rzymian spadła odpowiedzialność. Pomimo, że mądry sędzia Piłat wobec całego ludu umył ręce, mówiąc: „Nie jestem winien krwi Tego sprawiedliwego,“ a żydowski lud krzyknął: „Niech Jego krew spadnie na nas i na syny nasze,“ jednak on był odpowiedzialny za wyrok, gdyż on tylko miał władzę nad Judeą.

Kaifasz wciąż się uśmiechał.

Wtem prokonsul otworzył oczy.

Przed chwilą spojrzał w głąb własnej duszy i poznał swoją winę:

— Lud nie powinien wierzyć w zmartwychwstanie Tego człowieka. Każę przyłożyć pieczęcie i postawić straże.

Kaifasz pokornie dziękował mądremu sędziemu.

II.

Piłat osobiście udał się do pieczary, w której Józef z Arymatei przygotował grób dla siebie. Wielka rzesza ludu postępowała za lektyką namiestnika.

Droga wiła się pod górę i przechodziła obok miejsca kaźni, zwanego Golgotą.

Groźne chmury zasnuły niebo. Olbrzymie sępy krążyły wokoło złowrogiego wzgórza i rozpędziwszy kruki, unosiły się nad krzyżami, na których wisieli jeszcze dwaj łotrowie. Siwe drapieżniki, zwabione z pustyni wyziewem zgnilizny, dziobały skazańców, wyrywając z nich kawały mięsa i siadały na ramionach krzyża, aby pożreć swój łup ohydny.

Pomiędzy dwoma ukrzyżowanymi sterczał trzeci krzyż, ale ten był pusty. Na jego szczycie błyszczała wielka, śnieżnej białości gołębica i nie ruszała się z miejsca, pomimo, że wokoło niej sępy łopotały skrzydłami.

Kiedy lud ujrzał białego ptaka, zaczął szemrać i wskazywać na niego; niektórzy chcieli wystraszyć gołębicę, ale prokonsul zabronił spędzać jej z krzyża. Zdawało mu się, że z jasnych skrzydeł biją promienie, podobne do księżycowych blasków i rozjaśniają niebo zamroczone.

Zdawało mu się, że z samotnego krzyża spływa łagodne światło na szarą, obnażoną opokę, na ścieżkę, wijącą się wśród uschłych przez wczorajszą noc ogrodów, i na skałę, w której czerniał otwór pieczary...

Tędy przeniesiono wczoraj ciało Galilejczyka.

Stado kruków, rozpędzonych przez sępy, ze złowieszczem krakaniem unosiło się nad lektyką prokonsula, tworząc nad nią żywą, czarną chmurę.

W ogrodach oczekiwał Kaifasz z licznym orszakiem kapłanów, mędrców i faryzeuszów. Przyjęli Piłata z taką uniżonością, jak gdyby to był sam imperator, boski Tyberyusz.

Namiestnik zatrzymał się i posłał kilku żołnierzy, aby odwalili wielki kamień, który zamykał wejście do pieczary. Chciał pokazać ludowi martwe zwłoki Galilejczyka, zanim na grób cesarskie przyłoży pieczęcie.

Setnik powrócił i oznajmił:

— Przy grobie klęczy jakaś niewiasta i nie chce ustąpić.

To zapewne matka Galilejczyka. Powiedz jej, aby wstała i odeszła, ale nie rozkazuj, jeno proś.

— Niewiasta jest młoda i piękna. Rozdarła na sobie szaty i okryła się włosami, które płoną niby ogień.

Piłat wysiadł z lektyki i wązką ścieżką poszedł do pieczary. Kroki jego były powolne i ociężałe, jak gdyby nie mógł oderwać stóp od zeschniętej ziemi. Przy grobie klęczała niewiasta, której bujne włosy opływały całą postać i wlokły się po ziemi. Wsparta o głaz, zamykający pieczarę, posępnym wzrokiem zmierzyła cesarskiego namiestnika.

Poznał ją tylko po włosach, błyszczących jak zorza wieczorna, gdyż słynna jej piękność, która niegdyś odbierała ludziom rozum, zagasła, niby słońce o zachodzie.

Niewiasta miała imię Marya.

Żydówka z rodu, pochodziła z Magdali nad jeziorem Tyberyadzkiem. Żaden Rzymianin nie mógł jej łaski po-



Ostatnia wieczerza Pańska.

zyskać, nawet sam Piłat. Przysłane przez niego złoto i klejnoty wyrzuciła na gościniec.

Od chwili, kiedy ujrzała Jezusa Nazareńskiego, z jawno-grzesznicy stała się pokutnicą i padłszy Mu do nóg, oblewała je łzami. Mistrz jej przebaczył i odtąd wszędzie szła za Nim, towarzysząc Mu aż na Golgotę. Kiedy zdjęto z krzyża martwe Jego zwłoki, odprowadziła je do mogiły i nie chciała od niego odejść.

Piłat rozkazał, ale nie była mu posłuszną i zasłoniła sobą otwór pieczary. Dopiero gdy usłyszała, że namiestnik chce się przekonać, czy uczniowie Galilejczyka nie unieśli Jego ciała, usunęła się w milczeniu na stronę.

Odwalono głaz i ukazała się pieczara w skale wykuta, obwieszona delikatnem listowiem i białemi pąkami lilij wodnych. Kamienną płytę grobowca niewiasty, opłakujące zmarłego Mistrza, zarzuciły narcyzami i hyacyntami.

Woń kwiatów napełniała mogiłę.

Marya z Magdali jęknęła głucho i padłszy na kolana, wyciągnęła ręce, jak gdyby chciała objąć powietrze, wychodzące z pieczary.

Piłat skinął na arcykapłana Kaifasza i trzech znaczniejszych żydów, aby razem z nim weszli do wnętrza. Na jego rozkaz, dwóch żołnierzy usunęło płytę z grobowca...

W grobowcu Piłat uchylił chusty, kryjącej zwłoki, i ujrzał oblicze jaśniejące Boską pięknością i majestatem.

Po chwili wszyscy wyszli i Kaifasz głośno oznajmił ludowi, że ciało Ukrzyżowanego spoczywa w grobie, owinięte w białe chusty. Słowa te potwierdzili trzej świadkowie.

Prokonsul rzymski nic nie mówił, tylko kazał zawalić kamieniem otwór pieczary, sam przyłożył pieczęć cesarską na purpurowej wstędze i skinieniem ręki zalecił setnikowi, aby został na straży wraz z żołnierzami. Nie spojrzawszy na Maryę z Magdali, koło której musiał przechodzić, wsiadł do lektyki i zapuścił szczelnie firanki.

Artur Ćwikliński.

U grobu Pańskiego.

Powierzam, Jezu, na Twe drogi senne,
Które przez śmierci bramę w wieczność wiodą,
Wszystkie me bóle i czucia bezplenne,
Myśli — obłoki nad żywota wodą,
Co od niebiosów piękność biorą jasną,
A w dzień ponury szarzeją i gasną.

Nikt ich w pierś swoją przejąć nie był w stanie,
Nie ogarnęły ich siły niczyje —
Więc weź je z sobą Ty na te otchłanie,
Gdzie się Twój sztandar z wichrem śmierci bije,
A może — skoro te szlaki przemierzą—
Wrócą i ogniem w duszę mą uderzą.

Takich bo trzeba zjaw, takich obrazów,
Patrzących twarzą wieczności surową,
Bym z granitowych cierpień ludzkich głazów
Wyciosać posąg mógł, z tarczą nad głową,
Co w serce swoje przejmie wszystkie gromy,
Miotane na nas z ręki niewidomej.

Nie żądaj dzisiaj modlitwy dziecinnej...
Ty wiesz! daleko mój raj z jasną zorzą...

. . . .

Poprzed tych zwątpień suszącym płomieniem,
Przed tej nicości rozwartą głębiną,
Do której nieraz płyniemy marzeniem,
Widząc, jak raje naszych złudzeń giną,
Przed łzami, które nad mogiłą płaczą,
Przed tą bezpłodną słabości rozpaczą —

Broń nas! Nie odchodź w ową ciemną stronę,
Gdzie wiekuista łka trwoga i nędza!
Pójdź przez ten padoł, przez dymy czerwone,
Gdzie w błyskawicach szatan się upędza...
Jakoś z otchłani wywiódł swych przed wieki,
Wróć nas dziś, Panie, Ojczyźnie dalekiej!

Prawda jest żywiołem życia, pozór prawdy nosi w łonie swojem śmierci zaród.

Józef Supiński.

Dział kobiecy.

Posłuszeństwo u dzieci.

Dowiedzioną jest już rzeczą, że dzieci wogóle bardziej posłuszne są ojcu, niż matce; zdarza się też czasem, że niekiedy szanują one bardziej rozkazy matki niż ojca, ale wypadki te należą do wyjątków.

Czemu tę regułę przypisać należy? Dzieci zawdzięczają matce o wiele więcej miłości, troskliwości i trudu niż ojcu — dlaczegoż więc nie spełniają jej życzeń z większą chęcią?

Pewien dobry pedagog powtarzał często te trafne słowa: „Posłuszeństwo nie jest wcale cnotą dziecka, lecz zasługą wychowawcy. Jeżeli tylko wychowawca zna sposób, w jaki można pobudzić dziecko do posłuszeństwa, to z pewnością każde dziecko będzie mu posłuszne“. Dowody tego widzimy bardzo często, bo nawet w szkołach dzieci, które przez jedną nauczycielkę uznane są za nieposłuszne i zuchwałe, dla innej są uprzejmie i chętnie poddają się jej rozkazom. Jeżeli się z powyższem zdaniem zgodzimy, tem samem utwierdzimy się w przekonaniu, że stopień różnicy posłuszeństwa dziecka zostaje w związku z różnicą charakteru mężczyzny i kobiety.

Cechą charakteru mężczyzny jest wola, charakteru kobiety — uczucie.

Kobieta, wychowując, posługuje się też więcej uczuciem, podczas gdy mężczyzna stale dąży do wypełnienia swej woli.

Gdy dzieci po nad miarę hałasują i czynią wrzawę poprostu niemożliwą, a matka, któraby je powinna uspokoić, zmęczona i wyczerpana całodzienną pracą, zacznie się skarżyć i narzekać na nie, wyrzucając im ich bezwzględność — czy może to zrobić na dzieciach wrażenie?

Dziecko pojąć tego nie może, dlaczego matka nie dzieli uczuć jego radości. Hałas ustanie na chwilę, przerwany słowami matki, lecz wkrótce wybuchnie na nowo.

Postępowanie ojca jest zupełnie inne. Krótko nakaże spokój i wola jego natychmiast uszanowaną zostanie.

Matka nakazała dziecku coś zrobić. Ledwie wydała ten rozkaz, już pochłonięta inną sprawą, zapomina całkiem go dopilnować, a dziecko, które z doświadczeń poprzednich poznało roztargnienie matki i jej pobłażliwość — nigdy nie usłucha.

Ojciec postąpi inaczej. Ponieważ życzy sobie, żeby jego rozkaz był spełniony, więc dopilnuje i wykonania jego. Dziecko również nie będzie się ociągało z wykonaniem woli ojca, bo wie, że o niczem nie zapomina.

Matka rozkazała dziecku coś uczynić. W tej samej chwili, gdy wydaje rozkaz, wykonanie jego wydaje się jej samej za ciężkie, więc chcąc uczynić go do spełnienia łatwiejszym, zmienia na łagodniejszy w brzmieniu, ale też niedokładny. Mówi ona n. p. do swej córki: „Gdy skończysz śniadanie, mogłabyś posprzątać w pokoju.“ Dziecko nie czuje w rozkazie ani dokładnie oznaczonego czasu, ani sposobu, w jaki praca ta ma być wykonaną, i dla tego lekceważy go sobie i nie usłucha, lub wypełni tylko połowicznie.

Ojciec, który czegoś od dziecka wymaga, zrobi inaczej. Wyda on rozkaz dokładny, jasny i krótki. Wtedy dziecko zrozumie, co ma uczynić, a pewność i dokładność w rozkazie znacznie ułatwi usłuchanie.

Oto, co w życiu powszedniem każdy mógł łatwo zaobserwować, a co powinno dać nam cenne wskazówki, jak wychowywać dzieci.

Rozkazy nasze niech tedy będą krótkie a jasne; oszczędzimy sobie przez to wiele nieprzyjemności, a w dziecku wyrobimy cnotę stosowania się do woli rodziców, a co za tem idzie — poczucie obowiązku, bez którego charakter wyrobić się nie może.

Matka.

* * *

Kobiety sportsmenki.

Od dłuższego już czasu kobiety biorą żywy i wybitny udział w sportach wszelkiego rodzaju. Zwłaszcza w Anglii, klasycznej krainie sportów, tudzież w Ameryce, kobiety zyskały już nieraz palmę zwycięstwa w strzelaniu, turystyce, automobiliźmie, pływaniu, kierowaniu balonem i t. d. Odznaczyły się taką odwagą, zimną krwią i zręcznością, że zdobyły sobie miejsce obok najdzielniejszych przedstawicieli rozmaitego rodzaju sportów. W jednem z angielskiech czasopism opowiadają owe sportsmenki o swoich przygodach, których doznały wykonywując ten lub ów rodzaj sportu.

I tak panna Agnes Herbert opowiada o swojem polowaniu na nosorożca w afrykańskiej krainie Somalisów. „Po utrudzających pochodach przez dżungle — pisze panna Herbert — dostałam się z przewodnikiem i naganiaczem na polankę, w pobliżu której Somalisi wytropili nosorożca. W ciszy, panującej dokoła, mogłam słyszeć zgrzytanie zębów zwierza, który właśnie ucztował. Nagle pośród gałęzi ujrzeliśmy cielsko nosorożca. Zmierzyliśmy się wszyscy z naszych karabinów. Mierzyłam w łopatkę, chociaż wiedziałam, że to jest bezcelowe. Padł strzał z mojego karabinu. Nosorożec ruszył na nas z ogromną szybkością. Rozbiegliśmy się na wszystkie strony, przyczem naganiacz potknął się i upadł. Nosorożec rzucił się na niego i słyszałam przejmujące jęki. Nosorożec deptał nogami po ciele Somalisa. Nie było czasu do stracenia. Podeszłam ku nosorożcowi, który zwrócił ku mnie swoją potworną paszczę. Czułam gorący oddech z jego nozdrzy. Zdawało mi się, że stoję wobec śmierci. Nie wiem, jak to było, dosyć, że dałam dwa strzały szybko po sobie. Nosorożec rażony w serce, chwiał się przez chwilę, a potem runął. Obok niego leżał naganiacz, niestety, na śmierć zgnieciony.“

Drugie opowiadanie zamieszcza panna Gertruda Bacon, znana aeronautka. „Pewnego popołudnia sierpniowego w 1904 roku, w Quarry Park Shrewsburg naokoło balonu tłoczyły się tłumy publiczności. Był to drugi dzień wystawy kwiatowej w Sherwsburg i 70.000 ludzi chciało widzieć wzlot balonu. Stanley Spencer, dziś nieżyjący wynalazca, zaprosił mnie, ażebym wsiadła do jego balonu. Pogoda była niepomyślna. Umocowano linami łódź i motor, maszynę puszczono w ruch, poczem Spencer i ja zajęliśmy miejsca w łodzi. Odezwał się sygnał i setki rąk puściły linę. Z kilkudziesięciu tysięcy piersi wzniósł się okrzyk w powietrze, gdy balon zaczął się wznosić w górę. Nagle zauważyłam, że dochodzące mnie okrzyki nie miały tonu radości, ale wyraźnie zdradzały przerażenie. Nic dziwnego. Silny wiatr pochwycił nasz balon i uniósł go na dach olbrzymiego namiotu. Śruba naszego balonu znajdowała się zaledwie w oddaleniu kilku stóp od płótna namiotu. Gdyby śruba wdarła się w płótno i zawikłała w niem, balon byłby zgubiony. Runąłby z nami na masę głów ludzkich. Na szczęście zdołaliśmy szybko wyrzucić mnóstwo balastu, maszynę wstrzymać i w ten sposób nagle balon skierować pionowo w górę. O kilka cali dalej, a katastrofa była nieuniknioną, gdyż łódź nasza już pozdzierała chorągiewki z dachu.“

Panna Bacon przy tej imprezie nie straciła zimnej krwi i pomagała dzielnie Spencerowi, który bez jej pomocy byłby nie zdołał odwrócić katastrofy.

Z trzeciem opowiadaniem wystąpiła panna Aubrey le Blond, przedstawiając niebezpieczeństwo alpinizmu. Panna Aubrey daje epizod ze swojej podróży po Szwajcaryi, gdzie w towarzystwie



E. de Bello. U stóp Chrystusa.

dwóch przewodników wdzierała się na niebezpieczne szczyty. „Przygody, które mnie spotkały — pisze panna Aubrey — wydarzyły się na górze Hochberghorn, mającej 13 tysięcy stóp wysokości i nie cieszącej się frekwencyą turystów. Spadł obfity śnieg i utrudniał pochód, ale ponieważ pogoda była piękna, wyruszyliśmy w drogę. W cztery godziny od chwili, gdy opuściliśmy schronisko, zaczęliśmy wchodzić na właściwy wierzchołek. Powstało gorąco, słońce bowiem prażyło nas w plecy, a promienie jego odbijały się od wiszącego nad nami białego całunu śnieżnego. To też odczuliśmy orzeźwienie, gdyśmy na skręcie dostali się do ocienionego miejsca, gdzie nas przyjął chłodny powiew wiatru. Byliśmy już niedaleko wierzchołka, kiedy wytrawny przewodnik Ymboden zwrócił się do swego towarzysza i rzekł tonem stanowczym: „Każdej chwili możemy mieć lawinę.“

„Była to przestroga dla drugiego przewodnika, idącego w tyle, ażeby szedł bokiem i w ten sposób na wypadek usuwającego się śniegu nie został przezeń porwany. Niestety, drugi przewodnik nie zważał na przestrogę. W kilka minut później zaczął się pod naszemi stopami śnieg usuwać i runął w przepaść, porywając z sobą drugiego przewodnika. Zdołaliśmy odskoczyć w bok i wbić nasze kije w stwardniałą powłokę śniegu. Powłoka nie załamała się pod nami, ale zostaliśmy rzuceni na ziemię, a nogi nasze zaplątały się w linie. Tymczasem lawina leciała obok nas z ogromnym hukiem i wtedy pojęłam, że cudem uniknęliśmy śmierci. Wróciliśmy z uczuciem ulgi do schroniska, gdzie później zjawił się drugi przewodnik, który na szczęście wyszedł cało z niebezpiecznej przygody.“

Źródła zbrodni.

Francyę poruszyły do głębi urzędowe liczby o występkach i zbrodniach. Wszystko jest jako tako, ale ilość morderstw wzrasta zatrważająco. W roku 1886 popełniono ich — 171, w r. 1908 — 318!

Nie na całą Francyę spadło takie nieszczęście. W wielu prowincyach nie dzieje się wcale gorzej, niż dawniej. W wielu jest nawet wyraźnie lepiej. Morderstwo szerzy się głównie w wielkich miastach. Jestto niewątpliwie krwawy przywilej i przekleństwo wielko-miejskiego życia. Na wzrost liczby morderstw we Francyi wpływa niemal wyłącznie Paryż, Lyon, Marsylia i Bordo. —

Zaczęło się szukanie przyczyn nieszczęścia. Wskazano przedewszystkiem na alkoholizm. To nie ulega wątpliwości. Wódka robi człowieka zwierzęciem, podnieca złe namiętności — więc pcha do zbrodni.

W r. 1880 we Francyi było 359 tysięcy szynków. Obecnie jest ich przeszło 500 tysięcy. W takim samym stosunku wzrosło morderstwo.

Więc należy okrzyknąć powszechną walkę z szynkiem! Niestety, jest ona wszędzie bardzo trudna. Ogół ludności, który pod wpływem alkoholizmu mało się zastanawia i wszystkich straszliwych skutków jego bezpośrednio nie widzi, oburzyłby się na zamykanie karczem. Widziałby w tem nie ratunek narodu, ale przedewszystkiem ograniczanie praw, wolności — krzywdę! Szynkarze by mu to wpoili. Szynkarze są wszędzie osobami dużego wpływu. Pół miliona ludzi silnych, walczących o byt, to potęga niemal nie do pokonania. W każdym razie rząd francuski — wszelkiego kierunku — nie łatwoby się na nią odważył. I on i stronnictwo jego poniosłoby przy najbliższych wyborach niechybną klęskę, a może nawet przed wyborami w parlamencie. A naród francuski przywykł oglądać się we wszystkiem na rząd; od niego oczekuje zapoczątkowania w każdej sprawie.

Alkoholizm zwalczyć potrafi jedynie wielka liga ludowa.

W Swajcaryi przy warunkach o wiele bardziej sprzyjających walka z szynkiem trwała długo, toczyła się zacięcie i zwycięstwo bardzo się chwiało do końca. A chodziło jedynie o ograniczenie sprzedaży trucizny jawnej — absyntu.

Przytem alkoholizm nie tłumaczy całkowicie wzrostu liczby zabójstw, nie jest przyczyną jedyną.

W wielkich miastach francuskich wśród niższych warstw rodzina przestała niemal istnieć; matka poszła na zarobek, do fabryki. Dziecko oddano czasem do przytułku ,najczęściej zaś

powierzono jego wychowanie ulicy, pełnej pokus i zgorszenia.

Przytułek jest dobrodziejstwem wielkiem, jedynem i ratunkiem w danych warunkach, ale rodziny on nie zastąpi! Zdarzają się wychowawczynie nadzwyczajne, które potrafią i w licznym przytułku opanować dusze dziecięce i wpoić w nie pojęcie i poczucie dobra, ambicye uczciwe i chęć do pracy. Ale to zjawisko wszędzie rzadkie, do tego trzeba talentu wielkiego i powołania, i zapału, i poświęcenia, i sił. To też w wielkiej liczbie wypadków przytułek ogranicza się do mechanicznego utrzymania ładu, do zajęcia dzieci czemkolwiek. W przytułkach nieraz srożą się ohydne zarazy zepsucia.

Nic okropniejszego, nic okrutniejszego, jak wychowaniec wielkomiejskiego rynsztoku. Jest nieraz doskonałością moralnego znieprawienia — ostatnim jego szczytem. Nie podobna takiego człowieka porównać do żadnego zwierzęcia — od każdego gorszy. W Paryżu jest tego mnóstwo, ale — zjawisko ciekawe — są to przeważnie wyrostki! Tkwi w tem jakaś pociecha, choć nie wielka: zbyt to nikczemne osobniki, aby mogły dłużej istnieć, giną w przeróżny sposób: tępią się same, życie społeczne je zabija. Inaczej oneby może zahamowały życie.

We Francyi coraz głośniej zaczynają domagać się wprowadzenia kary cielesnej dla małoletnich przestępców. Istnieje ona w Anglii i w Danii. Ale środek to zbyt błahy wobec wielkości zła. Aby tępić zbrodnię jednostek, trzeba przedewszystkiem leczyć społeczeństwo, usuwać z życia źródła zgorszenia i przyczyny upadku.

Doszukano się też trzeciej przyczyny. Są nią... dzienniki!

Kto zna gazety paryskie, wie, że część ich staje się coraz bardziej organami zbrodni. Byle morderstwo — całe łamy pism poświęcone są opisom szczegółów. Dzienniki ścigają się, kto pierwszy poda portret zabójcy, oraz jego wyczerpujący życiorys. Znajdujemy opisy dokładne miejsca zbrodni, plany. Reporterzy gazet biorą na siebie rolę agentów śledczych, poszukują morderców — najczęściej oczywiście przeszkadzają tem policyi i sądom.

Jest to silna codzienna podnieta do zbrodni.

Istnieje dziś nawet pisemko, które unosi się nad zbrodniarzami najzwyklejszymi, nad ich odwagą, nad ich energią, jeżeli ofiarą pada jakikolwiek stróż bezpieczeństwa publicznego. Pisemko to nazywa się „La Guerre sociale“, redaktorem jego jest Herve, głośny wróg patryotyzmu.

Prócz tego we Francyi, tak samo jak w Niemczech, ukazuje się mnóstwo tanich wydawnictw, powieści z obrazkami, opisujących nadzwyczajne czyny bandyckie.

A stwierdzono Bóg wie ile razy, że pomysły autorów były nauką dla zbrodniarzy. Sam jakiś łajdaczyna nie potrafi wymyślić dowcipnej sztuczki złodziejskiej, ale ją zrozumie, gdy przeczyta... I wykona! Głośne było w swoim czasie zabójstwo pocztyliona w Widniu — skopiowane z powieści.

Zdarzają się, i to dosyć często, takie chore dusze, takie znieprawione a silne ambicye, takie namiętne żądze rozgłosu, że je nadzieja wizerunku i życiorysu w gazecie popycha do zbrodni. Historya wie o Herostracie, który dla zyskania „sławy“ spalił śliczną świątynię w Efezie, w starożytnej Grecyi (w Małej Azyi). W czasach ostatnich sądy różnych krajów spotkały się z podobnemi wypadkami.

Tu działalność gazet wyrządza niewątpliwie wielką szkodę narodom. I nie wolno jej usprawiedliwiać, nie należy bronić. Nie mamy też wcale podobnego zamiaru. Ale mają one potężnego współwinowajcę, którego tymbardziej ukrywać nie powinniśmy. Jest nim ogół czytających — naród! On domaga się stanowczo i gwałtownie sensacyjnych opisów zbrodni. Gazety, które ich nie dają, zabija!

I tak się dzieje wszędzie.

O GŁUPOCIE.

Są sprawy i tematy, które nigdy nie schodzą z porządku dziennego. Nie starzeją się, nie rozpływają w mgle przeszłości. Są pospolite, powszechne, w treści nieprzebrane, w różnolitości objawów nie mające granic.

Do takich spraw i zagadnień należy niewątpliwie głupota — ta głupota ludzka, która, według przysłowia, po miłosierdziu Boskiem, jedna tylko niema granic i końca. I być może, ta bezgraniczność i powszechność — czynią z głupoty najbardziej ulubiony, nigdy nie wyczerpany temat rozmów, dowcipów, drwin — oczywiście, z głupoty innych... Natomiast o wiele jest trudniejsze, głębsze, obce humorowi i satyrze, traktowanie głupoty. Rozważania w takim właśnie zakresie wkraczają już w dziedzinę psychologii, psychofizyologii, a nawet psychiatryi, nastręczają sporo trudności, opierać się muszą na subtelnej analizie i obserwacyi wieloletniej.

Są ludzie, którzy uchodzą za mądrych jedynie dzięki czynnikom ubocznym. Do takich czynników zaliczyć należy wtłoczoną w mózg przemocą z zewnątrz, wiedzę, dar wyrażania swych myśli i — zdrowie fizyczne, energię. Posiadanie patentów i dyplomów szkolnych nie zapewnia posiadania inteligencyi, „zdolności rozumienia“, która jest przeciwstawieniem głupoty. Największa łatwość mowy i pióra, będąc niewątpliwym talentem, nie jest ani mądrością, ani inteligencyą. Nie jest nią również ruchliwość, zależna od energii, a więc od zdrowia fizycznego.

Głupota jest wadą umysłu, jego niedostatecznym rozwojem, sprzecznością w zestawieniu z inteligencyą moralną. Wyczerpać wszystkich form i objawów głupoty niepodobna; można tylko wyodrębnić typy najbardziej powszechne.

Są ludzie, których władze umysłowe pozostają wciąż w stanie pewnego przytłumienia, „pod progiem świadomości“. Ich umysł wymaga zawsze t. zw. zebrania myśli. Najprostsze pytanie wprawia ich w kłopot. Zanim odpowiedzą, chcą zyskać na czasie, i dlatego na pytanie, które słyszą doskonale, najczęściej odpowiadają również pytaniem: „co?“

Innym, lecz jeszcze bardziej pospolitym objawem głupoty jest zacieśnienie umysłu, zupełne i wyłączające inne pojęcia opanowania mózgu przez jedną myśl.

Mniej rozpowszechnioną formą głupoty jest brak abstrahowania, tj. umiejętność wydobywania ze swych wspomnień, ze swych wrażeń tylko tego, co jest w danej chwili do wyrażenia myśli potrzebnem.

Głupota wyraża się również w formie nieopanowania własnych myśli. W psychologii nazywa się taki objaw „brakiem powciągu“, w mowie potocznej — brakiem zastanowienia Niepowściągliwość, bezrząd w myśleniu daje się poznać po nadmiernej wielomówności, nie kończących się nigdy opowiadaniach o rzeczach, nie mających związku, dla słuchacza najzupełniej obojętnych. Brak zastanowienia przybiera czasami formę istnej „pogoni myśli“, znanej z psychiatryi pod nazwą „fuga idearum“.

Głupota jest nieuleczalną, jako przyrodzona i patologiczna właściwość mózgu. Jednakowoż, chociaż głupoty nie można uleczyć, można i należy umieć ją rozpoznawać.

Kalendarzyk historyczny.

Dnia 20-go marca 1605 uwolnienie Smoleńska od oblężenia Moskwy. — 1673 śmierć Augustyna Kordeckiego. — 1760 zaślubiny księcia Karola z Franciszką Krasińską. — 1848 uwolnienie Polaków z więzienia w Moabicie. — 1848 utworzenie w Poznaniu komitetu narodowego.

Dnia 21-go marca 1080 śmierć Bolesława Śmiałego. — 1416 śmierć Anny drugiej żony Władysława Jagiełły. — 1609 urodzenie Jana Kazimierza.

Dnia 22-go marca 1387 nadanie Wilnu prawa magdeburskiego. — 1604 Karól Sunderman ogłasza się królem szwedzkim. — 1656 Szwedzi odparci z pod Częstochowy. — 1831 walny zjazd obywateli podolskich w Michałówce.

Dnia 23-go marca 1576 książę Maksymilian zaprzysięga pacta conventa. — 1589 śmierć Marcina Kromera, biskupa warmińskiego.

Dnia 24-go marca 1545 przymierze w Preszowie z Węgrami i Czechami. — 1626 zdobycie Pucka. — 1794 powstanie Kościuszki w Krakowie.

Dnia 25-go marca 1340 śmierć Bolesława Mazura, ostatniego księcia halickiego. — 1683 hołd Fryderyka, księcia kurlandzkiego. — 1691 królewicz Jakób zaślubia Jadwigę Renn. — 1831 powstanie Żmudzi.

Dnia 26-go marca 1471 Władysław Jagiellończyk obrany królem czeskim. — 1657 traktat zaczepny i odporny z cesarzem Austryi. — 1848 przybycie do Poznania uwięzionych w Berlinie Polaków.

Polny mak się płoni, jużci go wstyd ima,
Że błyszczy purpurą — a zapachu nie ma.
O! bo darmo, samym blaskiem nic się nie przymili,
Stokroć milsza jest pszenica, gdy kłos ciężki schyli.

Edmund Wasilewski.

* * *

Królewska myśl w człowieku i skrzydła rozszerza,
Dalej niż według gniazda i własnego pierza.

F. S. Klonowicz.

* * *

Między złem a dobrem cieniuchna bardzo ściana, można ją nazwać subtelną bardzo linią. Tę linię kto przestąpi, tak mu ją przestąpić na stopę jako i na milę.

Biskup Samuel Myszkowski.

Humor i satyra.

Wskazówka praktyczna dla niepraktycznych kupców.

Handluj, kupcze, czem dusza zapragnie,
I reklamuj się, jak żaba w bagnie,
Arogancyi jednak, kupcze drogi!
Nie sprowadzaj w sklepu twego progi,
Gdyż niejeden, jak mówią babule,
Zbankrutował na tym artykule.

* * *

Dowcip samobójcy.

W Rouen we Francyi sąsiad niejakiego Feliksa Guenen zauważył pewnego dnia na jego drzwiach kartkę z napisem: „Można wejść i bez pukania, w pokoju znajduje się wisielec“. Sąsiad wszedł i zauważył istotnie trupa kołyszącego się na powrozie.

* * *

Ma zamiar.

Ojciec: Pan pocałowałeś moją córkę, więc proszę mi teraz powiedzieć, jaki masz zamiar?

Kawaler: Ja... proszę pana dobrodzieja mam zamiar szczery... nie zrobię tego więcej.

* * *

Oda do samochodu.

Ty, co rumaki prześcigasz w locie,
Co wichry łamiesz twą piersią z stali,
Ty, który ptakiem w kurzu i błocie
Pędzisz po świecie, jak w morskiej fali.

Och! ty niejednych ucieczki bramą
Ostatnią z pociech w godzinach strachu,
Gdy zajdzie jaki konflikcik z mamą,
Lub gdy spekulant dożyje strachu.

Ty kasyerom z porwaną kasą
Pomagasz czmychać z przed oka prawa
I kochankowi ze swą wybraną
Pożyczasz skrzydeł, gdy trudna sprawa.

Bądź pozdrowiony żelazny smoku,
Rozumu ludzi przecudne kwiecie,
Ty, co bez owsa i bez obroku
Kurzysz i smrodzisz po całym świecie.

* * *

Dla czego?

Dla czego ty Izydor, nie kupisz powozu na gumach?

— Bo on jedzie tak cicho, że niktby nas w takim powozie nie zauważył, więc poco mi wtedy taki powóz?

* * *

W przelocie.

— Jak się masz Karolu? Jakie interesy?

— Dobre, ale mi się strasznie spieszy.

— Powiedz mi przynajmniej czyś zdrów?

— Zdrów, zdrów!

— Podobno się zaręczyłeś?

— Tak, ale puść mnie już, bo stoję jak na rozżarzonych węglach.

— Rzeknij tylko jedno słówko: z kim się zaręczyłeś?

— Z dwupiętrową kamienicą, nazwisko powiem ci innym razem. Adiu!

* * *

Największe zadowolenie.

Choćby człowiek doszedł sławy,
Posiadał miliony,
To i wówczas jeszcze będzie
Niezadowolony.
Z jednej rzeczy tylko w życiu
Bywa kontent zawsze —
Z czego? — ten i ów zapyta,
Gdyż to najciekawsze.
Spójrz no w koło siebie,
Stanąwszy wśród tłumu,
A zobaczysz, jak rad każdy
Jest... z swego rozumu.

* * *

Ułatwienie.

— Mój tatusiu, mój papeczko, mój złoty, brylantowy ojczulku!

— Cóż tam znowu?

— Niech tatuś każe zaprowadzić u nas telefon.

— Dziewczyno! A tobie na co telefon? Niepotrzebny to wydatek!

— Owszem, proszę tatusia, bardzo potrzebny. Pan Józef jest tak nieśmiały, że ani rusz wprost oświadczyć mi się nie śmie. Może łatwiej mu przyjdą oświadczyny przez telefon...

* * *

Dobry egzamin.

Pewien student ze wsi powraca po wielu latach i nieudanych egzaminach do domu rodzicielskiego. Po obiedzie zapytuje go się ojciec, jak wypadł ostatni egzamin. — „Znakomicie,“ odpowiada synek „tak wybornie, iż będę go musiał na ogólne żądanie powtórzyć.“

* * *

Dosłownie.

Pani domu: „Kasiu, leć no tylko na dworzec kolejowy i zobacz, kiedy odchodzi ostatni pociąg.“

Późno wieczorem powraca wreszcie Kasia.

— „Na Boga dziewucho,“ powiada jej pani domu, a gdzie ty tak długo siedziałaś?“

— „Gdzie siedziałam? a toć przecież musiałam czekać tak długo, aż ostatni pociąg odjedzie.“

* * *

Idealne mieszkanie.

Aktor do gospodyni: „A więc może mi pani ten pokój jako suchy i zdrowy polecić?

Gospodyni: „Jaknajsumienniej,

tylko, że schody są cokolwiek strome i zeszłego roku komornik, który przyszedł mieszkającemu tutaj studentowi rzeczy fantować, sobie kręgi złamał."

Aktor (zachwycony): Komornik? Kręgi złamał? — Biorę pokój natychmiast!"

* * *

W przedpokoju.

— Czy Maryanna wie o tem, że nasz pan kupił samochód o 45 koniach.

— O la Boga! Adyż tyle bydlaków nie wlezie wcale do naszej stajni!

* * *

Oszczerstwo.

Każdy przyzna, że oszczerstwo
To nie cnota, nie zaleta,
I rzec można sprawiedliwie:
To fałszywa jest moneta.
Bo jak ona, tak oszczerstwo
Wszędzie jest, gdzie ludzi tłuszcza,
Rzadko kto je fabrykuje,
Ale każdy w kurs je puszcza.

* * *

W sądzie.

— Oskarżony pan jesteś o to, — że nazwałeś tę panią wstrętnym potworem,—mówi sędzia ławniczy do podsądnego, ukazując mu brzydką jak upiór kobietę. — Czy przyznajesz się do winy?

— Im uważniej przypatruję się tej pani — odpowiada oczekujący wymiaru sprawiedliwości, — tem jaśniej widzę, że patrząc na nią, nie mogłem inaczej powiedzieć

* * *

Niezręczne wyrażenie.

Żydówka prosi panią usiąść na kanapie i mówi:

— Niech pani spróbuje, jak ten mebel podpichuje.

* * *

Niepewność.

— Cóż stoisz na ulicy, ty pijaku, i patrzysz w swe okna?

— Patrzę, czym jest w domu, ale zdaje mi się, że mnie niema, bo w oknach ciemno...

* * *

Awanturnik.

Żydek: — Panie żandarm, ja zrobiał wielkie awanture!

Żandarm: — To pójdziesz do kozy. A cóżeś zrobił?

Żydek: — Ja dostałem po pisku i uczekniułem.

* * *

Wioślarz.

Jechał żydek raz koleją
W świątecznym chałacie,
Bowiem podróż tę odbywał
Przy świętym sabacie.
Miał przed sobą szaflik z wodą
W czasie całej drogi,
I przez cały czas w nim trzymał
Wraz z butami nogi.
Aż podróżny nagle jakiś
Na biedaka natarł:
„Czemu trzymasz nogi w wodzie,
Czy pragniesz mieć katar?"
„Wiesz pan — odrzekł na to żydek
Ze smutnym wyglądem:
Nam nie wolno w dzień sabatu
Jeździć nigdy lądem,
A że pilny mam interes
Do miasteczka „Krzaki,"
To ja jadę sobie wodą,
Bo ja wioślarz taki!"

* * *

ŁAMIGŁÓWKA.

Ułożyła czytelniczka naszego pisma p. Jadwiga Narowska z Niewierza pod Brodami (W. Ks. Poznańskie.)

13 a, 2 b, 3 c, 4 d, 5 e, 1 f, 2 g, 3 i, 2 j, 1 k, 2 l, 1 m, 3 n, 7 o, 4 ó, 2 p, 1 r, 5 s, 8 w, 2 y. 1 z.

```
+ . . .       . . . +
. + . .       . . + .
. . + .       . + . .
      + . . . +
      . + . + .
      . . + . .
      . + . + .
      + . . . +
. . + .       . + . .
. + . .       . . + .
+ . . .       . . . +
```

W powyższą figurę powstawiać litery tak, aby j[illegible] kr[illegible]yż[illegible] znacz[illegible]e ut[illegible]orzyły z[illegible]ne nasze hasło.

Znaczenie wyrazów następujące:

1. Królowa starożytności.
2. Imię męzkie.
3. Stołeczne miasto w Galicyi.
4. Filozof grecki.
5. Owoc zagraniczny.
6. Narzędzie rolnicze.
7. Miasto w Polsce.
8. Miasto portowe.
9. Broń starożytna
10. To samo co 8.
11. Wyżłobienie w drodze — wspak.
12. Osoba panującą.
13. Zwierzę przeżuwające.
14. Jeden z bohaterów Konfed. Barskiej.
15. Ptak morski.
16. Rodzaj kaszy z palmy.
17. Założycielka Kartaginy.

Rozwiązania prosimy nadsyłać do **dnia 24-go marca włącznie.**

Później nadesłanych rozwiązań **nie uwzględnimy.**

Przy rozdawaniu nagród **uwzględnimy tylko te osoby, które nam nadeślą dokładne rozwiązanie tak zagadki jak też wyrazów.**

Rozwiązanie łamigłówki literackiej, zamieszczonej w numerze 10-ym:

1. Biedronie.
2. Ogniem i mieczem.
3. Lilla Weneda.
4. Emerson.
5. Straszna noc.
6. Ład Boży.
7. Arcybiskup.
8. Westalka.
9. Paulsen.
10. Reymont.
11. Urbanek.
12. Sulicki.

Bolesław Prus.
Emancypantki.

Dobre rozwiązanie nadesłali do dnia wyznaczonego terminu t. j. do dnia 10-go bm. następujące osoby:

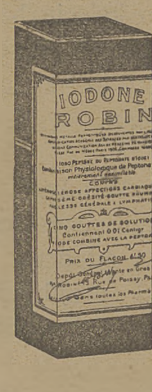
Z Poznania: pp. Edmund Ruciński, Kazimierz Kledecki i Janek z pod Góry Przemysława (rozwiązanie niedokładne).

Z W. Ks. Poznańskiego: p Jaroch Czabański z Zaniemyśla.

Ze Śląska: p. Alfred Badura z Roździenia.

Nagrodę otrzymali: pp. Edmund Ruciński z Poznania, Jaroch Czabański z Zaniemyśla i Alfred Badura Roździenia.

CIASTO NAFÉ (Pâte de Nafé)
DELANGRENIER
przeciwko Kaszlowi, Katarom, Zapaleniu Oskrzeli

IODONE ROBIN

Krople zawierające peptonat jodu.
Przeciw: **miażdżycy tętnic, cierpieniom serca, astmie, rozedmie płuc, otyłości, podagrze, reumatyzmowi, przymiotowi i zołzom.**
Jod w połączeniu organicznem, łatwo przyswajalny. Nie daje zabarwienia niebieskiego z klajstrem krochmalnym, co dowodzi, że nie zawiera wolnego jodu.
DAWKA:
od 5 do 120 kropli dziennie.
20 kropli odpowiada 1 gramowi jodku potasu.
Sprzedaż hurtowa:
13, rue de Poissy, 13. — PARIŻ
Detalicznie: w głównych aptekach.

CASCARINE LEPRINCE
$C^{12} H^{10} O^{5}$


Akademia medyczna 12 czerwca 1892 r. Akademia Umiejętności 1 kwietnia 1892 r. i 3 lipca 1899 r.
WSKAZANIA: **stałe zatwardzenia** choroby wątrobiane: jako środek antyseptyczny dla organów trawienia; przy zatwardzeniu w okresie ciąży i karmienia; przeciw kamieniom żółciowym. Zażywa się zwykle w pigułkach — 2 pigułki po jedzeniu lub przed udaniem się na spoczynek.
Skład główny: **62, rue de la Tour, PARIS.**
Składy we wszystkich aptekach i składach materyałów aptecznych.

PAŁAC I TEATR.

Powieść z angielskiego.

1) Tłom. **S. P.**

ROZDZIAŁ I.

Cicha noc latowa miękkiemi obejmowała ramionami łąki i lasy. Srebrne promienie księżyca, żadną nie zaciemnione chmurką, jasnemi padały snopami na ziemię czarodziejskim oświetlając ją blaskiem, to też ciemny zwykle i ponury Lanchester wyglądał w tej chwili jak gród zaklęty, skąpany w falach białego światła.

Małe to i skromne miasteczko, zamieszkałe przeważnie przez biednych robotników, pełne zawsze dymu, wybuchającego czarnemi kłębami z wysokich kominów fabrycznych, zmienione było teraz do niepoznania. Łagodny, lecz potężny czar nocy upiększał je niezmiernie, turkot maszyn ustał, gwar uliczny zamilkł, a spokój i cisza, panujące wśród wyniosłych gmachów, uwieńczone były przejrzystą koroną księżycowych blasków.

Na tle ciemnego nieba odcinały się wyraźnie wysmukłe wieżyczki kościelne i gałęzie drzew parku miejskiego; la ie wcale nie próbow ły współzawodniczyć z jasnem promieniami księżyca — i tylko błyszczące tu i owdzie lampy w oknie zakłócały czerwonym, migotliwym ogniem harmonię, roztaczaną przez króla nocy i towarzyszące mu gwiazdy.

Silniejsze jeszcze przeciwieństwo tworzyły żółte płomienie gazu, rozjaśniające przedsionek teatru, z którego właśnie wychodziła publiczność. Przedstawienie musiało być dobre — wszyscy bowiem rozmawiali wesoło, śmiali się głośno i udzielali sobie nawzajem rozmaitych uwag, odnoszących się do dzisiejszej komedyi. Turkot odjeżdżających powozów i dorożek przerwał na chwilę ciszę w miasteczku, po upływie jednak pół godziny zapanował i tutaj głęboki spokój.

Tylko jeszcze przy bocznych drzwiach teatru rozmawiano głośno. Kilku młodych ludzi stało tam razem i mówiło o doskonałej grze aktorów.

— Sztuka ta będzie miała wielkie powodzenie, — rzekł jeden z młodych mężczyzn, a dyrektor świetny na niej zrobi interes!

W tejże chwili otworzono drzwi, i wysmukły, wytwornie ubrany mężczyzna stanął na schódkach.

— Dobranoc, — rzekł krótko, poczem zbiegł na dół i znikł na skręcie ulicy.

— To Desmond, — objaśnił inny z obecnych, patrząc za odchodzącym. — Spieszy do mistress Pole, która zaraz na początku przedstawienia przysłała kogoś z prośbą, aby natychmiast po ukończeniu sztuki przyszedł do niej. Biedna kobieta nie przeżyje podobno tej nocy. Doktor powiedział, że nie ma dla niej ratunku. Posłaniec twierdził nawet, że jest konającą.

— Konająca! — zawołał towarzysz jego, — mylisz się! Wczoraj jeszcze widziałem ją na scenie!

— Tak, ale była już ciężko chorą, a nadmierny wysiłek i silne jakieś wzruszenie dobiły ją zupełnie. Zaledwie spuszczono kurtynę, dostała biedna kurczu serca i nieprzytomna upadła na ziemię. Potem nastąpił krwiotok. Był to wczoraj ostatni jej występ, niestety!

Młodzi ludzie umilkli. Weseli i lekkomyślni nie mogli się jednak oprzeć smutnemu wrażeniu, jakie na nich słowa przyjaciela wywarły. Myśl, że piękna, młoda aktorka, witana i żegnana wczoraj hucznemi oklaskami, dziś może ostatnie wydaje tchnienie, przytłumiła na chwilę ich wesołość i swobodę.

Ten, który opowiadał o śmiertelnej chorobie artystki, miał słuszność. Piękna Nora Pole była umierającą.

Gerard Desmond poznał to natychmiast, gdy wszedł do pokoju.

Stósownie do życzenia artystki, przybył do niej zaraz po przedstawieniu, pomimo, że krótka ich znajomość nie usprawiedliwiała niczem niezwykłej tej prośby.

— Ach, dzięki Bogu, że pan już tu jesteś,— rzekła kobieta, u której Nora Pole mieszkała. — Ciągle o pana pytała, a nocy tej pewnie nie przeżyje.

— Nie może być! Czy lekarz mówił, że nie ma nadziei? — zawołał Gerald Desmond zdumiony i szczerze wiadomością tą zasmucony.

— Doktor powiedział, że z powodu zupełnego wyczerpania sił śmierć musi nastąpić. Proszę, chodź pan!

I poszła wązkiemi, dywanikiem wykładanemi schodami na pierwsze piętro, do małego saloniku, portyerą tylko oddzielonego od sypialni aktorki.

Zaczekaj pan tu chwilkę, zobaczę, czy przytomna, rzekła

Młody człowiek stanął przy oknie i czekał. Na kominku wydzwonił zegar godzinę jedenastą. Ostry dźwięk jego rozlegał się nieprzyjemnie wśród ciszy, panującej w pokoju.

Pokój ten był urządzony jak wszystkie tego rodzaju „chambres garnies“, lecz artystyczne poczucie Nory Pole nadało mu charakter pewnej wytworności. Wazoniki napełnione były wonnemi fiołkami, na krzesłach leżały kosztowne zabawki dziecięce, na stoliku koszyk z piękną robótką — jednem słowem, wszędzie było widać zamiłowanie piękna i smak wykwintny.

Pomimo to panowała tu atmosfera smutku i rozpaczy — jak zwykle tam, gdzie ktoś umiera.

Właścicielka mieszkania wróciła do saloniku.

— Nie poznaje w tej chwili nikogo, szepnęła. — Może pan poczekasz jeszcze, albo może przyjdziesz później...

— Myślę, że lepiej, abym tu został, — odrzekł Gerold Desmond z pewnem wahaniem, — bo kto wie, czy bym potem zdążył przyjść na czas!

— To prawda. Dozorczyni czuwająca przy niej uwiadomi pana natychmiast, gdy chora odzyska przytomność.

Gerard został sam.

Minuty wlokły się niesłychanie wolno. Ogień na kominku wygasł zupełnie — zamiast wesoło skaczących iskier została teraz tylko garść białego popiołu. A przez spuszczoną portyerę słyszeć było ciężki, świszczący oddech umierającej...

Geraldowi zdawało się, że wszystko to jest strasznym snem tylko. Czemu Nora Pole wezwała go do siebie? Uwielbiana przez publiczność i kolegów, posiadała dużo przyjaciół i przyjaciółek i każdy byłby chętnie podążył do niej, aby osłodzić ostatnie godziny jej życia i wypełnić wszelkie polecenia. Tymczasem pominęła wszystkich i zażądała właśnie Geralda, którego najmniej znała, i który bardzo jeszcze był młody.

Skończył bowiem codopiero lat dwadzieścia i jeden.

Cała ta sprawa nadzwyczaj mu się wydawała dziwną.

Zamyślony, rozdrażniony, zbliżył się do okna, szukając uspokojenia w cichej przyrodzie. Po drugiej stronie ulicy wznosiła się, w srebrnym blasku księżyca skąpana, wieża gotycka jednego z licznych kościołów. Raz po raz przesuwał się spóźniony przechodzień — jasno zaś oświetlone okno saloniku ostrem swem światłem stanowiło sprzeczność z ciemnem sklepieniem nieba, zasianem milionami gwiazd. Pogodny ten obraz działał rzeczywiście kojąco na nerwy młodzieńca.

Nagle rozległ się w przyległym pokoju głośny, przejmujący krzyk. Chora wymawiała jakieś imię.

Gerard zadrżał, odskoczył od okna i podniósł głowę z wyrazem niezmiernego przerażenia.

Ale wołanie już się nie powtórzyło.

— Musiałem się przesłyszeć, — pomyślał. — Zdawało mi się, że wołała. Głupstwo! Jestem zanadto zdenerwowany. Gorąco tu i duszno — otworzę na chwilę okno...

I już wyciągał rękę, gdy chora znowu krzyknęła:

— Lionelu! Lionelu!

Gerard zawahał się. Ale potem, jak gdyby ulegając niewidzialnej jakiejś sile, zbliżył się szybko do drzwi sypialni, otworzył je i stanął na progu.

Dozorczyni siedząca przy łóżku dała znak ręką, aby chorej nie budził. Gerard skinął głową i nie ruchał się z miejsca.

Obraz, jaki się tu oczom jego przedstawił, wyrył się na zawsze w jego pamięci. Na szerokiem, staroświeckiem łóżku, na śnieżnej poduszce, spoczywały obok siebie dwie jasne głowy — w głębokim śnie utulone. Jak odmiennym jednak był ten sen! Bo podczas kiedy biała, złotemi loczkami otoczona twarzyczka małej dziewczynki cała była uśmiechem rozpromieniona, wyrażała twarz młodej kobiety tyle bólu, tyle beznadziejnej rozpaczy, jak gdyby wzięła na siebie ból i rozpacz całej ludzkości. Jasne, bujne włosy, rozrzucone w nieładzie, spadały aż za poręcz łóżka, małe zaś usta, gorączką spieczone, poruszały się żywo, szepcąc jakieś niezrozumiałe słowa.

— Wszakże chora wołała przed chwilą, — spytał Gerard przytłumionym głosem dozorczyni.

— Przez sen tylko! Majaczy biedna. Cicho — budzi się....

Długie, ciemne rzęsy chorej podniosły się zwolna i dwoje modrych gorączką błyszczących oczu zatrzymało się na wysmukłej postaci Geralda, odcinającej się wyraźnie na tle ciemnej portyery.

Z początku zdawało się, że niepoznaje go, wyraz bowiem obawy odbił się w rozszerzonych źrenicach, ale zaraz potem odzyskała przytomność.

— Pan Desmond! — szepnęła. — Przyszedłeś pan nareszcie!

— Nie mogłem być prędzej — odrzekł łagodnie. — Przybiegłem zaraz po skończonem przedstawieniu. Szczerze mi żal pani! Ale nie cierpisz przynajmniej zanadto?

— Cierpienia moje kończą się. Umieram! Nie żal mi życia, zbyt wiele zaznałam smutku i goryczy. Byłam nieraz tak zmęczona a nie wolno mi było odpoczywać. Nie jesteś pan zdziwiony moją prośbą? Bo przecież jesteś mi obcym, a jednak — w ostatniej chwili mego życia śmiem się odwoływać do twej dobroci i łaski! Może ci jest nieprzyjemnem, lecz mam nadzieję, że nie odmówisz pomocy umierającej kobiecie.

— Uczynię wszystko, co w mej mocy! Wszystko! — zawołał uroczyście, pochylając się ku niej.

— Dziękuję! Jesteś bardzo dobry, — rzekła, usiłując się uśmiechnąć. — Nora bardzo pana lubi, instynkt zaś dziecka nigdy nie zawodzi.

I smutne spojrzenie nieszczęśliwej kobiety spoczęło z wyrazem niezmiernej miłości na złotej główce dziecka.

— Proszę pani, — rzekła zwracając się do dozorczyni, — zostaw nas na chwilę samych.

Dozorczyni wyszła.

— Usiądź pan tu — bliżej, — szepnęła chora, wskazując Geraldowi krzesło, stojące przy łóżku.

Gerald wykonał natychmiast to życzenie, słaby głos zresztą umierającej wymagał, aby dla oszczędzenia jej wysiłku, zbliżył się zupełnie do łóżka.

Modre oczy artystki patrzały badawczo na piękną twarz młodzieńca.

— Nie wiem, — drżącemi szepnęła ustami, — czy dobrze czynię, ufając panu? Czy spełnisz dane mi przyrzeczenie? Czy będziesz wiernym obietnicy? Raz już zaufałam człowiekowi, podobnemu do ciebie i zdradził mnie haniebnie, a jednak — jednak — właśnie to podobieństwo zniewoliło mnie do szukania pomocy u ciebie!

Lekki rumieniec pokrył bladą twarz Geralda.

— Możesz mi pani ufać, — rzekł poważnie, — daję pani słowo uczciwego człowieka, że nie zawiedziesz się na mnie i nie pożałujesz wyboru!

— I on tak mówił, — zauważyła z goryczą, a szkarłatne wypieki na jej twarzy ustąpiły miejsca sinej bladości. — I on tak mówił!

Po tych słowach przykre zapanowało milczenie. Chora wpatrywała się tak uporczywie w twarz młodzieńca, jak gdyby usiłowała wyczytać z niej myśli i uczucia jego.

— Muszę panu powiedzieć wszystko, — rzekła nareszcie z ciężkiem westchnieniem. — Czuję, że umieram, a nie mam nikogo na świecie... Nie mogę umrzeć i pozostawić ją samą na łaskę ludzi... Panie Desmond, weźmiesz pod opiekę moją córeczkę? Uwolnisz umierającą matkę od tej strasznej troski o dziecko Spróbuj — pytaj, może rodzina męża mego, przez pamięć na niego, zechce dopomódz biednej sierocie, chociaż...

Zmęczona wysiłkiem, opuściła głowę na poduszki i umilkła. Gerald przerażony przywołał dozorczyni.

— To słabość przemijająca, — rzekła kobieta. — Dam jej kilka kropli...

I unosząc ostrożnie głowę chorej, wlała jej łyżeczkę lekarstwa w usta.

Chwilę później odzyskała Nora przytomność.

— Panie Desmond, — szepnęła, gdy znów zostali sami — muszę się spieszyć, gdyż nie wiele zostaje mi czasu... Muszę się spieszyć... A więc słuchaj... masz mnie tylko pod przybranem nazwiskiem... Nie nazywam się Pole... Mój mąż porzucił mnie kilka tygodni przed urodzeniem się Nory — był okrutnym i wiarołomnym! Zaufałam mu — Bóg mi świadkiem, że kochałam... że ubóstwiałam go! A on najpodlejszą odpłacił mi za to zdradą! Opuścił mnie — zostawił na pastwę losu — a przecież byłam prawną jego małżonką.

Głos jej stawał się coraz to cichszym.

— Mam na to dowody, — zaczęła po chwili, kładąc rękę na piersi, — noszę je tu — na sercu — nie chcę, aby kiedykolwiek miała spocząć plama na nazwisku mojem lub

mojej córki. Byłam tylko biedną aktorką, on zaś synem i spadkobiercą bogatego lorda, a jednak przysiągł mi wierność przed ołtarzem — wobec Boga i ludzi. Dla tego w metryce mego dziecka wymieniłam jego nazwisko, od chwili, w której mnie porzucił, wymówiłam je po raz pierwszy i ostatni. Moja córka... Ach... moja biedna córka...

— Chcesz pani, abym się sam zaopiekował twem dzieckiem, — zapytał Gerald z głębokiem współczuciem, — czy też mam się udać do rodziny twego męża? W każdym razie powtarzam raz jeszcze, że przyrzeczenia mego święcie dotrzymam!

— Napisz pan do nich... — szeptała z trudnością. — Oni bardzo są bogaci a ja byłam jego żoną. Akt naszego ślubu znajdziesz pan tutaj... Gdy mnie opuścił, pracowałam ciężko na utrzymanie własne i dziecka — nieustanna praca pomogła mi do łatwiejszego znoszenia nieszczęścia. Nie byłam stworzoną na żonę arystokraty. Znudziłam go wnet — uciekł — ale ja mu i tę nawet zniewagę przebaczyłam!

Na czoło umierającej wystąpiły grube krople potu. Na wołanie Geralda weszła dozorczyni, odgarnęła jasne czoło włosy i otarła pot.

— Przebaczyłam... — wyszeptała jeszcze Nora z jakimś niepochwytnym, rozmarzonym wyrazem. — Kochałam go tak, że i oni... przebaczyć mi... powinni, przez wzgląd na miłość moją... przez pamięć na niego... niech mi przebaczą... i nie odpychają mego dziecka... mojej małej, opuszczonej... sierotki...

Oczy jej zwróciły się raz jeszcze ku śpiącej i uśmiechniętej dziecinie.

— Dowody — dowody wszystkie — mam na sercu, — zapewniała z ostatnim błyskiem przytomności. — Zabierz je pan — ale nie teraz, dopiero — gdy umrę! Będziesz dobrym dla Nory?

— Przysięgam!

— Umierająca uśmiechnęła się i westchnęła.

— Kona! kona! — szepnęła dozorczyni przerażona, chwytając ze strachu rękę aktora. — Patrz pan...

Gerald dziwnie był zmieniony. Czy widok śmierci tak go wzruszył, czy ostatnia prośba nieszczęśliwej matki? Dozorczyni zauważyła zmianę na twarzy Geralda, lecz wytłumaczyła ją sobie zupełnie inaczej.

— Starszą była od niego, — pomyślała, — a jednak musiał ją bardzo kochać.

Nieprzytomna już Nora zawsze jeszcze dziwnie była piękną. Delikatna jej twarz nie miała wprawdzie rysów klasycznych, lecz wdzięk i słodycz nadawały jej niezmiernie wiele uroku.

Dozorczyni uniosła jeszcze raz jasną głowę aktorki, oparła ją na swem ramieniu i usiłowała wlać ożywcze krople w usta. Gerald stał, wpatrzony w twarz umierającej i milczał. Zdawało mu się, że patrzy na jakieś widmo straszliwe...

Jedna tylko dziewczynka, nie wiedząc nic ani o męczarniach moralnych, ani o grozie konania, spała dalej spokojna i marzyła słodko o zabawkach i lalkach.

W sypialni było teraz cicho — oddech umierającej stawał się coraz słabszy. Na zegarze pobliskiego kościoła uderzyła północ, a każde uderzenie zegara brzmiało jak dzwon pogrzebowy wśród pustych ulic miasteczka.

Nora Pole otworzyła nagle oczy.

— Nikt o tem nie wiedział, — wyszeptała jeszcze, — on kazał mi przysiądz, że nie powiem ani słowa i umiałam dotrzymać danej obietnicy. Dziś jednak, gdy umarł... cóż mu szkodzić może, chociażby się i świat cały dowiedział o naszem małżeństwie... Jedynie troska o przyszłość Nory zmusza mnie do wyjaśnienia tajemnicy... Może jej nie odepchną, może przyjmą za swoją... Przecież ja byłam żoną jego! Byłam żoną Lionela Hattona!

Były to ostatnie jej słowa. Spojrzała raz jeszcze na Geralda — potem zamknęła oczy i głowa jej osunęła się na ramię. Kilka razy wstrząsnął dreszcz śmiertelny jej członkami i — skończyła.

Dozorczyni ułożyła ją starannie na poduszkę, a chcąc złożyć ręce zmarłej na piersi, spostrzegła w kurczowo zaciśniętych palcach jakiś papier.

— To pewnie dokument, który chciała dać panu, — rzekła i wyjąwszy papier z ręki trupa, podała go Geraldowi.

Młody aktor wziął złożoną ćwiartkę, pochylił głowę i wyszedł z pokoju.

Noc, zalana strumieniami światła księżycowego, była prawie tak jasną jak dzień. Pomimo to pobiegł Gerald prędko do latarni i tu dopiero rozłożył powierzony mu papier.

Był to akt ślubu zawartego w Notley, wiosce hrabstwa Kent, pomiędzy Jaśnie Wielmożnym Lionelem Hattonem, młodszym synem czwartego hrabiego na Elsdalen a Norą, córką Edwarda Crosby, aktorką, znaną pod nazwiskiem Nora Pole.

Gerald drżał tak silnie, że musiał się oprzeć o słup latarni, a twarz jego była prawie tak bladą jak twarz co dopiero zmarłej aktorki.

Nora Pole na zawsze już zeszła z sceny świata.

ROZDZIAŁ II.

„Zawiadowca biura notaryalnego pod firmą Francis i Turnbull w Londynie na Lincolns Inn ma zaszczyt prosić pana Geralda Desmond, artystę dramatycznego, który w r. 1867 ważną z nim prowadził korespondencyą, aby raczył się zgłosić jak najprędzej do tegoż biura, w interesie nie cierpiącym zwłoki, a odnoszącym się do tej samej osoby i sprawy, o jaką wówczas chodziło.“ —

— Desmond! Gdzież się ukryłeś tak starannie? Patrz, ktoś cię w rubryce zaginionych w „Times“ za pomocą ogłoszenia odnaleźć usiłuje! Pewnie to o jaką sukcesyę tu chodzi! Albo jaka wielka pani zakochała się w tobie przed laty i szuka cię teraz znowu! Albo masz być świadkiem w jakimś procesie! Desmond! co u licha — gdzież jesteś? Czy tam wymarli wszyscy?

I młody, dwudziestokilkoletni aktor jeszcze więcej przymrużył oczy, zdradzające krótki wzrok i podnosząc ostentacyjnie gazetę nad głową, zaczął zaglądać za brudne, pyłem pokryte kulisy teatru w Southbowugh.

— Nie krzycz pan tak, — zawołała młodziutka aktorka, ucząca się swej roli, — pana Desmonda nie ma tu! Ale co się stało, że pan tak hałasujesz?

— Jakto, ja hałasuję? Zachowuję się przecież tak cicho jak mysz pod miotłą. Jeżeli pani przeszkodziłem, to przepraszam jak najmocniej, szanowna miss Clifford! Mylę się, że mi przebaczysz, skoro się dowiesz, o co chodzi. Słuchaj więc: nie chciało mi się uczyć roli — biorę więc z nudów „Times“, leżący od niewiem kiedy w kącie i wzrok mój pada przypadkiem na drugą kolumnę i czytam, że jakiś pan wzywa od dziesięciu dni Desmonda, który zapewne nic o tem nie wie!

— Co? Kto wzywa Desmonda? — zawołała młoda aktorka widocznie zaciekawiona.— Pokaż pan — przeczytam to także!

— Proszę, — rzekł aktor, kłaniając się nizko. — Żałuję tylko, że i mnie nie poszukuje jaki prawnik — może zdołałbym wtedy wzbudzić zajęcie pani!

Miss Clifford rozśmiała się głośno.

— Eh, nie jest to takie zajmujące, — zauważyła, przeczytawszy artykuł, — sprawa nie odnosi się do Desmonda, tylko do innej jakiejś osoby!

— Pozornie — tak. Lecz ponieważ nie ma on ani rodziców, ani rodzeństwa, ani dalszych lub bliższych krewnych, przeto musi tu chodzić o niego samego!

Miss Clifford przeczytała raz jeszcze ogłoszenie.

— Może o jakiego przyjaciela, — rzekła.

— Może o jaką przyjaciółkę, — powtórzył aktor z złośliwym uśmiechem, — nie rozumiem tylko czemu ów on lub ona nie załatwiają sprawy osobiście. Przyznaję, że chociaż nie uwielbiam naszego pierwszego tragika tak, jak panie, to jednak jestem przekonanym, że dziwna jakaś otacza go tajemnica.

— Głupstwo, — rzekła miss Clifford, wzruszając ramionami, wręczyła mu napowrót gazetę.

— Bujna fantazya za daleko cię unosi, panie Vincent, — dodała jeszcze, — Desmond wyznał mi sam, że od dziesięciu lat pracuje na scenie.

— Wcale temu nie przeczę, — zawołał Vincent, śmiejąc się, — jego gra artystyczna zdradza aż nadto długoletnią pracę — lecz to mu nie przeszkadza trzymać się zdaleka od nas i odgrywać czasem rolę wielkiego pana! Ale otóż i Monis, ten nam opowie najlepiej o pochodzeniu Desmonda.

— Kto tu mówi o p. Desmond? — zapytał nadchodzący właśnie siwowłosy starzec o niezmiernie sympatycznej twarzy, pełniący obowiązki reżysera teatru. — Widzę, że i on się dziś spóźnia. Oprócz nas obojga nikogo jeszcze nie ma!

— A ja tymczasem znalazłem w „Times“ ogłoszenie, tyczące się Desmonda, — odparł Karol Vincent.

— Może być — Gerald Desmond nie należy do pospolitych nazwisk, a nie przypominam sobie, aby jakikolwiek bądź inny artysta dramatyczny występował pod tym samem przybranem nazwiskiem!

— Jakto, przybranem?

— Nie mówię przecież, że on je przybrał. On może się rzeczywiście tak nazywać!

— Wątpię! Arystokraci nie wywieszają tarczy herbowej nad aktorskim namiotem, — zawołał Vincent rozgniewany, — a że Desmond jest szlachcicem, arystokratą, o tem pewnie nikt wątpić nie może!

— Myślisz pan? — odrzekł stary Monis szorstko. — Szkoda, że domysły twoje zawiodły cię tym razem najzupełniej. Proszę, gdzie jest to ogłoszenie?

Vincent podał mu gazetę. Starzec przeczytał odnośny artykuł z wielką uwagą, przyczem twarz jego przybrała wyraz smutku i niepokoju.

— Wszakże dotyczy to naszego Desmonda? — zapytała miss Clifford ciekawie.

— Prawdopodobnie!

— Co to może znaczyć? Myślisz pan, że otrzyma jakiś majątek?

— Wątpię, — odrzekł Monis z uśmiechem. — Wszakże czytałaś pani, że tu nie chodzi o niego, tylko o pewną znajomą mu osobę!

— Ale pośrednio chodzi i o niego, — roześmiała się młodziutka aktorka wesoło.

— Przeciwnie! Jestem przekonany, że cała ta sprawa żadnej w położeniu jego nie wywoła zmiany! Może przyniesie mu tylko trochę kłopotu i zmartwienia, więcej nic! Ponieważ zaś należycie oboje do jego przyjaciół, a pan Vincent zawdzięcza mu niejedną pomoc i radę, przeto proszę was serdecznie, nie wpominajcie o ogłoszeniu tem ani jemu, ani innym członkom naszego towarzystwa. Po co ludzie niedelikatni mają go męczyć pytaniami w sprawie, o której by wolał najchętniej zamilczeć?

— Więc pan nie chcesz mu nawet pokazać tego ogłoszenia? — zawołała miss Clifford zdumiona.

— Zapytam go tylko, czy je zauważył w gazecie. Jest to jak pani widzisz, stary numer Timesa, prawdopodobnie więc czytał je. Reszta już do mnie nie należy. Panie Vincent, mogę liczyć na twoją dyskrecyę?

— Najzupełniej, — odrzekł aktor uprzejmie. — Wolałbym się w język ugryść, niż najmniejszą Desmondowi wyrządzić przykrość. Jeżeli każdy z nas ma pewne względem niego obowiązki, to ja moich zliczyć bym nawet nie umiał.

Głos młodego aktora brzmiał taką szczerością, że reżyser spojrzał życzliwie na ładną jego twarz i zwinąwszy gazetę, udał się za boczne kulisy.

Miss Clifford zaczęła znów gorliwie powtarzać swoją rolę, Karol Vincent zaś, pozostawiony sam sobie, przechadzał się po scenie, myśląc z głębokiem wzruszeniem o tem, ile razy Gerald Desmond ratował go słowem i czynem, z kłopotów w teatrze i życiu prywatnem.

Nic może nie sprawia nieprzyjemniejszego widoku nad wnętrze teatru, oświecone światłem dziennem. Najwytworniejsze sale teatralne tracą dużo przy niedyskretnych promieniach słonecznych — wśród złoceń, rzeźb i aksamitów dostrzedz można niejedną plamę! Efekty, obliczone na płomień gazu lub elektryczności, są niczem we dnie. Co dopiero mówić o małych teatrach prowincyonalnych! Jest to we dnie obraz nędzy i niedoli, strojnej w podarte aksamity!

Teatr w Southborough żadnego też pod tym względem nie stanowił wyjątku. Budynek był wprawdzie obszerny i wysoki, niemiłosierne jednak światło dzienne wykazywało aż nadto wszystkie jego ujemne strony. Posadzka była wszędzie wytarta, sufity brudne, dekoracye pospolite, aksamity tu i owdzie podarte i wypłowiałe, urządzenie sceny nędzne — jednem słowem — wszystko było liche i nieestetyczne.

Ale Karol Vincent tak był do tego brudu przyzwyczajony, że na nic już nie zwracał uwagi. Zresztą nie miał czasu na oglądanie kulis i posadzki — był tak bowiem pogrążony w myślach, że cały świat zewnętrzny nie istniał obecnie dla niego.

A jednak świat ten dziwnie był dziś pięknym. Potoki słońca zalewały miasto, zamieniając niebo i morze w jeden ocean światła i błękitu. Mnóstwo osób przechadzało się po ulicach, dzieci z kwiatami stały co kilka kroków i patrzały z zazdrością na szczęśliwszych towarzyszów, zbierających muszelki na wybrzeżu, skąpanem jeszcze pianą. Panie pokazywały dziś nowe tualety i flirtowały z wytworną młodzieżą.

Jedna z strojnie ubranych młodych kobiet, wysoka, wysmukła, jak topola, o czarnych, wielkich oczach, była tak piękną, że wszyscy mimowoli oglądali się za nią. Jeden mianowicie mężczyzna, także młody i należący widocznie do najlepszego towarzystwa, stanął nawet i patrzał dopóty za piękną brunetką, dopóki mu zupełnie z oczu nie znikła. Potem zmarszczył brwi, jak gdyby się sam na siebie gniewał, i zwrócił się szybko w boczną uliczkę, wiodącą do teatru.

Wysoki i wytworny w ruchach, nie miał twarzy klasycznie pięknej, lecz wyraz niezwykłej inteligencyi, dobroci i szlachetności serca czynił ją bardzo pociągającą i sympatyczną.

(Ciąg dalszy nastąpi).

WYDRĄŻONA IGŁA.

Z francuskiego tłum. **R. S.**

(Ciąg dalszy.)

Izydor głośno liczył schody. Przy trzysta pięćdziesiątym ósmym stopniu, natrafili znowu na drzwi z żelaza, zaopatrzone w płyty i gwoździe.

— Znamy już to, rzekł Beautrelet. Dokument podaje nam liczbę 357 i trójkąt z kropką na prawo. Powtórzymy naszą operacyę.

I te drzwi otworzyły się równie szybko, jak pierwsze. Oczom ich przedstawił się długi, bardzo długi kurytarz, co kilka kroków oświetlony latarką, zawieszoną u powału. Na ścianach widniały krople wody, które spadały na ziemię. Ażeby umożliwić przejście, były położone na małem wzniesieniu płyty kamienne, tworzące chodnik.

— Przechodzimy teraz pod morzem, rzekł Beautrelet. Czy idziesz, Ganimard?

Ganimard szedł za nim w milczeniu. Przy pierwszej latarni stanął i zdjął ją:

— Pochodzi może z średnich wieków, tylko rodzaj oświetlenia jest nowoczesny.

Szli dalej. Tunel dochodził do drugiej pieczary, znacznie większej jak pierwsza.

Naprzeciwko ujrzeli pierwsze stopnie schodów idących w górę.

— Teraz rozpoczynamy iść w górę Igły, rzekł Ganimard, to ważniejsza rzecz.

Lecz jeden z jego ludzi zawołał:

— Panie, tam po lewej stronie znajdują się drugie schody.

I równocześnie zauważyli trzecie schody na prawo.

— Do dyabła, krzyknął Ganimard, sytuacya pogarsza się. Jeżeli pójdziemy tędy, to ucieką drugiemi schodami.

— Rozdzielmy się, zaproponował Beautrelet.

— Nie, nie... nie możemy się osłabiać... Lepiej, że jeden z nas pójdzie na zwiady.

— Ja pójdę, jeżeli chcesz...

— Ty, Beautrelet, dobrze. Ja zostanę tutaj z moimi ludźmi, nie ma się czego obawiać. Mogą być inne zejścia w skale, którą przebyliśmy, jak również mogą być rozmaite wejścia w Igle, lecz napewno jest tylko jeden tunel, który łączy Igłę ze skałą nadbrzeżną. Każdy musi więc przebyć pieczarę. Dlatego tu będę czekał na twój powrót. Idź, Beautrelet, a ostrożnie... Za najlżejszem podejrzeniem, wracaj.

Izydor szybko zniknął środkowemi schodami. Za trzydziestym stopniem zatrzymał się przed zwykłemi drzwiami z drzewa. Nacisnąwszy klamkę, drzwi otworzyły się. Nie były na klucz zamknięte.

Wszedł do sali, która była tak kolosalnych rozmiarów, iż zdawała mu się nadzwyczaj nizką.

Oświetlona ostremi lampami, miała zapewne te same proporcye co Igła.

Przepełniona była mnóstwem najrozmaitszych przedmiotów, meblami, krzesłami, skrzyniami, kistami, kuframi — jak u antykwaryusza.

Na prawo i na lewo Beautrelet zauważył dwie klatki schodowe, prawdopodobnie te same, które prowadziły z dolnej pieczary. Mógł był więc zejść i oznajmić Ganimardowi swoje spostrzeżenia. Lecz naprzeciw niego były znowu schody prowadzące w górę, uczuł więc ochotę samemu iść wyżej.

Szedł znowu trzydzieści stopni, znowu drzwi, znowu sala, lecz tym razem trochę mniejsza, A zawsze naprzeciw nowe schody idące w górę.

Beautrelet zrozumiał plan wykonanych robót wewnątrz Igły. Była to cała serya sal jednej nad drugą, a wskutek tego sale te były coraz to mniejsze. Wszystkie zaś służyły za magazyny.

W czwartej sali nie było lampy. Słabe światło wdzierało się przez szczeliny, przez które Beautrelet widział morze o kilkadziesiąt metrów pod sobą.

W tej chwili opanował go strach, uczuł się tak oddalonym od Ganimarda, że musiał wytężyć całą siłę woli, aby nie uciekać, co sił starczy. A przecież żadne niebezpieczeństwo nie groziło mu, przeciwnie, taka cisza panowała wokoło, że zapytywał sam siebie, czy Lupin i wspólnicy jego nie opuścili na zawsze Igły.

— Na następnem piętrze zatrzymam się, rzekł do siebie Beautrelet.

Znowu trzydzieści stopni i drzwi, lecz lżejsze i modniejsze. Otworzył je powoli, przygotowując się do ucieczki. Nie było nikogo w tej sali, która różniła się zupełnie od poprzednich. Na ścianach wisiały obicia, na podłodze dywany. Naprzeciw stały dwie przepiękne etażerki, zastawione srebrami. Małe okienka w szczelinie skały, zaopatrzone były w szyby.

W pośrodku sali stał stół bogato nakryty obrusem z koronek, na którym stały cudowne zastawy z owocami i ciastami, szampan w karafkach, całość przybrana najpiękniejszymi kwiatami.

W około stołu trzy nakrycia.

Beautrelet przybliżył się. Na serwetach leżały karteczki z nazwiskami biesiadujących osób.

Czytał najpierw: Arsen Lupin.

Naprzeciw: Pani Arsenowa Lupin.

Wziął trzecią kartę i zatrząsł się z przerażenia. Na karteczce stało jego nazwisko, Izydor Beautrelet!

W tej chwili zasłona odchyliła się.

— Dzień dobry, mój kochany Beautrelet. Spóźniłeś się trochę. Śniadanie było naznaczone na dwunastą, lecz o kilka minut nie chodzi.

W czasie walki przeciw Arsenowi Lupin, Beautrelet doznał niejednej niespodzianki, i w tej ostatecznej chwili był przygotowany na niejedną, atoli to, co teraz ujrzał, przewyższało wszystkie. Uczucie, które nim owładnęło, nie było to zdziwienie, lecz osłupienie, przestrach.

Człowiek, który stał naprzeciwko niego, człowiek, którego brutalna siła wypadków zmuszała do uważania go za Arsena Lupin, człowiek ten był Valméras. Ludwik Valméras! właściciel zamku Aiguille. Valméras, którego prosił o pomoc przeciw Arsenowi Lupin. Valmçras! Jego towarzysz podczas wyprawy do Crozant. Valméras! odważny przyjaciel, który umożliwił uprowadzenie Rajmundy, raniąc lub udając, że rani, wspólnika Arsena Lupin!

— Pan... pan... jąkał Beautrelet. To pan rzeczywiście!

— Dlaczegoby nie? wyrzekł Lupin. Czy zdawało ci się, że mnie znasz, widząc mnie pod przebraniem księdza lub pana Massiban? Mój Boże, jeżeli się wybrało taki zawód jak mój, trzeba umieć sobie radzić. Lecz Lupin, prawdziwy Lupin stoi przed tobą, Beautrelet. Przyjrzyj mu się doskonale, Beautrelet...

— W takim razie... jeżeli pan jesteś... w takim razie... panna...

— Tak, tak, Beautrelet, dobrze powiedziałeś...

Znowu odchylił zasłonę, dał znak i zameldował:

— Pani Arsenowa Lupin.

— Ah! szepnął młody człowiek, mimo wszystko zmieszany... panna de Saint-Véran!

— Nie, zaprzeczył Lupin. Pani Arsenowa Lupin, lub jeżeli wolisz pani Ludwikowa Valméras, legalna moja małżonka, według ostrych przepisów kościelnych i dzięki tobie, mój kochany Beautrelet.

Wyciągnął do niego rękę.

— Najserdeczniejsze moje podziękowanie... myślę, że podasz mi rękę bez urazy.

Rzecz dziwna, Beautrelet nie uczuwał żadnej urazy, żadnego uczucia upokorzenia. Żadnej nienawiści. Tak silnie odczuwał olbrzymią wyższość swego przeciwnika, że nie zarumienił się będąc przez niego pobitym.

Uścisnął więc podaną sobie dłoń!

— Podano do stołu.

Służący postawił na stole półmiski z różnemi potrawami.

— Wybacz, Beautrelet, jesteśmy zmuszeni jeść zimne potrawy, gdyż zwolniłem kucharza.

Beautrelet nie miał coprawda chęci jeść. Usiadł jednakowoż pod wrażeniem zachowania się Arsena Lupin. Co właściwie wiedział Lupin? Czy zdawał sobie sprawę z niebezpieczeństwa, które mu groziło? Czy nie przeczuwał bytności w Igle Ganimarda i jego ludzi?

A Lupin ciągnął dalej:

— Tak, dzięki tobie, mój przyjacielu jesteśmy połączeni. Wprawdzie Rajmunda i ja kochaliśmy się od pierwszego dnia. Lecz ani ona, ani ja nie mogliśmy i nie chcieliśmy się zgodzić na to, aby wytworzył się między nami stosunek przejściowy, który mógł był się łatwo rozwiązać. Położenie było nierozwiązalne dla Arsena Lupin, lecz położenie to zmieniło się, gdy zostałem Ludwikiem Valméras, którym coprawda nie przestałem być od urodzenia. A ponieważ ty nie dawałeś za wygraną i odnalazłeś zamek Aiguille, powziąłem więc myśl skorzystania z twojego zacietrzewienia.

— I z mojej głupoty.

— Ba! Wszyscy w to uwierzyli.

— Tak więc pod moją pokrywką i z moją pomocą doszedłeś pan do celu?

— Mój Boże, któż mógł bowiem przypuścić, że Valméras był Arsenem Lupin, ponieważ Valméras był przyjacielem Izydora Beautrelet, i ponieważ Valméras uprowadził Arsenowi Lupin, tę, którą Lupin kochał?

Zapanowało milczenie. Beautrelet obserwował Rajmundę. Przysłuchiwała się Arsenowi Lupin, nie rzekłszy słowa, i patrzała na niego oczyma, w których Beautrelet czytał miłość, namiętność i coś jeszcze, czego nie potrafił określić, rodzaj przygnębienia, jakby nieokreślonego smutku.

Lecz Lupin spojrzał na nią i uśmiechnęła się do niego serdecznie. Przez szerokość stołu, dłonie ich złączyły się.

— Co mówisz o mojem urządzeniu, Beautrelet? spytał Lupin... Ładne, co? Nie mam pretensyi, aby było z wszelkim komfortem... A przecież są ludzie, którzy gorszem się zadawalniają... Zobacz sobie listę kilku osób, którzy byli właścicielami Igły, a którzy uważali za godne zostawić tutaj swoje nazwisko.

Na ścianie jedno pod drugiem stały wykute następujące imiona:

Cezar. Karól Wielki. Roll. Wilhelm Zdobywca. Ryszard, król Anglii. Ludwik XI. Franciszek I. Henryk IV. Ludwik XIV. Arsen Lupin.

— Któż podpisze się teraz? ciągnął dalej. Niestety lista zakończona. Od Cezara aż do Arsena Lupin... to wszyscy. Niezadługo tłumy nieznane odwiedzać będą tę niezwykłą cytadelę. I pomyśleć, że bezemnie, wszystko to, pozostałoby ludziom nieznane! Ah! Beautrelet, ty nie wiesz jak byłem dumny w ten dzień, w którym wziąłem w posiadanie tę opuszczoną ziemię! Odnaleźć zaginiony sekret, i zostać panem, jedynym panem! Dziedziczyć taką wspaniałą fortunę! Po tylu królach zamieszkiwać Iglę!...

Ruch, uczyniony przez jego żonę, przerwał mu. Zdawała się być bardzo zaniepokojoną.

— Jakiś hałas, rzekła... słyszę hałas pod nami... słyszycie...

— Jest to zapewne rozbijanie się fal morskich o skałę, rzekł Lupin.

— Nie, nie... szmer fal znam doskonale... to jest co innego...

— Cóżby być mogło, moja droga, rzekł śmiejąc się Lupin. Na śniadanie zaprosiłem przecież tylko Izydora Beautrelet.

A zwracając się do służącego zapytał:

— Karolu, zamknąłeś drzwi od schodów za panem?

— Tak, i założyłem rygle ubezpieczające.

Lupin wstał:

— Cóż to, Rajmundo, drżysz?... Ah! jesteś zupełnie blada. —

Po cichu rzekł jej kilka słów, jak również i służącemu, następnie odchylił kotarę i kazał im się oddalić.

Na dole zaś, hałas stawał się wyraźniejszy. Były to głuche uderzenia, które się powtarzały w równych odstępach.

— Ganimard stracił cierpliwość, pomyślał Beautrelet, wyrąbuje więc drzwi.

Lupin zaś, bardzo spokojny, jak gdyby rzeczywiście nic nie słyszał, ciągnął dalej:

— Gdy mnie się udało dotrzeć tu dotąd, zastałem Iglę bardzo zrujnowaną. Widocznem było, że od wieku noga ludzka tutaj nie postała, od czasu Ludwika XVI i rewolucyi. Tunel zapadał się. Schody zawalały się. Woda wdzierała się do wnętrza. Musiałem więc podmurować, wzmocnić niejedne miejsca, odnowić.

Beautrelet nie mógł powstrzymać zapytania.

— Czy Igła była pustą za pańskiem przybyciem?

— Prawie. Królowie nie musieli jej używać jako skład przechowawczy, jak ja to czynię...

— Więc jako schronienie?

— Tak, niewątpliwie, w czasie najścia ludów, również w czasie wojen domowych, lecz główny cel Igły był, że się tak wyrażę... mieścić w sobie bank Francyi, królów Francyi.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Wśród walki z losem.

25) Wolny przekład z angielskiego przez S. B.

(Ciąg dalszy.)

Mr. Wirtlow przeczytał głośno te słowa a potem rzekł sam do siebie: Cóż też takiego może zawierać ten pakiet?

Postawił latarnię obok siebie na ziemi i rozłamał czarną pieczęć, którą papier był zapieczętowany.

Koperta zawierała zapisane papiery i właśnie mr. Wirtlow zabierał się do ich czytania, gdy nagle z poza portyery okna jakaś postać wypadła i z okropnym rykiem rzuciła się na niego, a powaliwszy gwałtownie o ziemię, papiery z rąk mu wyrwała. Światło latarki, która się w tejże samej chwili przewróciła, zgasło i gruba ciemność otoczyła go dokoła.

Był jasny dzień, gdy mr. Wirtlow odzyskał przytomność. Widocznie noc całą przeleżał w omdleniu, z którego się teraz dopiero zbudził. Kufer był zamknięty, klucza nie było, a latarnia, z której rozlany olej po kobiercu spływał, leżała pod krzesłem, na którem siedział jego nocny towarzysz — kot — i kończył ranną tualetę. Papiery znikły bez śladu, a dokuczliwy ból w tylnej części głowy dał mu poznać, że musiał tą stroną głowy silnie uderzyć o posadzkę.

Podniósł się przeto, schował latarnię do kieszeni i wolnym krokiem powlókł się do Clingford, dokąd przybył o godzinie szóstej z rana. Siostrze, z którą się w bramie domu spotkał, powiedział, iż odbył ranną przechadzkę. Miss Polly jednakże potrząsnęła głową z niedowierzaniem, co świadczyło, iż o prawdziwości słów jego miała pewną wątpliwość.

Otwarcie kuferka mrs. Graves na dniu 1-go listopada w obecności Artura, Heleny Barklay i mr. Merricka jako świadka, pozostało bez żadnego rezultatu. Ci trzej sami tylko i jedyni zjechali na ten akt uroczysty; obaj panowie stali naprzeciw siebie i spoglądali jeden na drugiego wzrokiem poważnego oczekiwania, a Helena, klęcząc przy kuferku, powoli i ostrożnie dobywała jeden przedmiot po drugim. Na dole w salonie czekała na nich mrs. Merrick w towarzystwie kilku osób.

— Nie ma nic — odezwała się Helena, wydobywszy na ostatku kilka numerów starej gazety, leżące na samem dnie kuferka. — No, rada z tego jestem.

— Czemu rada? — zapytał Artur Barklay.

— Obawiałam się, iż może znów czekają nas nowe przykrości i zmartwienia.

— Nie byłoby to nic nadzwyczajnego, nie wiele bowiem zaznaliśmy oboje w życiu radości — brzmiała zwolna dana odpowiedź.

— Tak, dotychczas nie wiele — rzekła Helena.

— Jednakowoż Jane Graves nie zrobiła tego zamiaru, miała ona w tem pewien cel — ozwał się Artur Barklay. — Co tam stoi w tych gazetach?

Helena rozwinęła gazety, a spojrzawszy w jednę z nich, wydała lekki okrzyk przestrachu i zgniotła je w swych palcach.

— Stara historya — rzekła — sprawozdanie o przebiegu procesu.

— Historya popełnionej wielkiej omyłki — dodał Merrick — która się już nigdy więcej nie powtórzy.

— Dałby Bóg — rzekła Helena. — Jednakowoż biedna ta kobieta, która w swem zaślepieniu tak ciężko przeciw mnie zawiniła, musiała mieć ważny powód, żądając, byśmy ten kuferek wspólnie otworzyli.

— Gdyby nasz tajemniczy przyjaciel nie był tak niecierpliwym i nie zatrzasnął kufra, uszkodziwszy przytem zamek, bylibyśmy mogli lepiej rzecz zbadać — zauważył Walenty.

— Sądziszże pan, iż ktoś w naszej nieobecności kufer otwierał?

— Mam takie podejrzenie.

— Ach, wy panowie od sądu składacie się z samych podejrzeń, żyjecie tylko podejrzeniami — zawołał Artur.

Walenty miał już na języku ostrą odpowiedź, powstrzymał się jednak przez wzgląd na Helenę.

— Pokój zdaje się być nietkniętym, prócz oleju rozlanego na kobiercu — ozwała się Helena z pewnem zamyśleniem. — Mogła to jednakże zrobić sama mrs. Graves w ostatnich chwilach swego pobytu.

— Czy nikt ze służby nie nadmienił nic o tym oleju — zapytał Walenty.

— Nikt z nich nie byłby się nawet ośmielił wejść tutaj.

— Wyjąwszy Wirtlowa — dodał Artur — a ten nie postał w tym domu. Zresztą, na coby mu się przydał kuferek mrs. Graves. Ja Wirtlowa dość lubię, jest on poczciwy i można mu zaufać.

— To więcej, niżbym ja potrafił — rzekł Walenty.

— Powinienbyś mu pan zaufać więcej, aniżeli mnie — ozwał się Artur Barklay i zaśmiał się szyderczo — i na Jowisza, miałbyś zupełną słuszność.

— My wszyscy pragniemy teraz ufać panu — rzekła Helena szczerze. — Troski naszego życia już minęły i inne, lepsze czasy nastają teraz dla pana i dla mnie.

— Że nastają one dla pani, Heleno, w to wierzę, ale ja nie mogę przyjść na świat po raz wtóry.

— Nie powinieneś pan wątpić o sobie.

— Nie jestem wprawdzie do tego stopnia złym, jak pani sądziłaś, ani takim łajdakiem, za jakiego mnie w Dornton mają, ale mam wiele i wielkich wad i nie łatwo przyjść ze mną do końca.

— Zmieni się to wszystko, gdy osiędziesz w Weddercombe, pozawięzujesz stosunki, pozyskasz przyjaciół i będziesz żył jak przystało na angielskiego gentlemanna — rzekła Helena. — Na dole czekają goście, z którymi pana pragnę zapoznać.

— Nie potrzebuję przyjaciół. Nienawidzę nowych znajomości.

— Przekazuję panu Weddercombe — Arturze.

— Na jakich warunkach?

— Nie mam żadnych warunków. Pan je zechcesz przyjąć odemnie, proszę pana o to. Nie ma już pomiędzy nami ani fałszywej dumy, ani nieufności. Arturze Barklay, ja przedewszystkiem daję ci moje zaufanie, chceszże mi nazwzajem oddać swoje?

— Tak jest, Heleno — rzekł, serdecznie biorąc jej rękę — ale w jaki sposób chcesz dokonać mojej poprawy, czy dając mi twe pieniądze?

— Dlaczegożbym jej za pomocą moich pieniędzy dokonać nie miała? — zawołała. — To był niesprawiedliwy testament, który wszystko przeznaczał mnie, a pana pozostawiał w ubóztwie.

— Nie jestem ubogim.

— Nie jesteś też pan majętnym, niepodobna przecie abyś pan...

— Nic nie jest niemożliwem dla człowieka wytrwałego i zdecydowanego na wszystko, by dopiąć tego, co zamierzył. Powiodło mi się w tym roku i zebrałem dużo pieniędzy.

— Ale pan przyjmiesz odemnie Weddercombe jako dowód naszego wzajemnego zaufania.

Potrząsnął głową przecząco. — Nic nie przyjmę jako podarunek, Heleno. Wiesz pani przecie do jakiego stopnia wstrętną mi była zawsze wszelka łaska; wiadomem ci jest także i to, iż stryj mój nie chciał, by mi przypadł choć jeden grosz z jego majątku. Kupię Weddercombe, bym miał gdzie spokojnie głowę mą skłonić, ale nigdy nie przyjmę go w podarunku. — Krew gorącą łuną oblała twarz jego, gdy te słowa wymawiał, oczy zabłysły dawnym, dziwnym ogniem a żyły na skroniach wzdęły się od wewnętrznego wzburzenia.

— Masz nieugięty charakter — rzekła Helena z westchnieniem. — Czy nie przebaczyłeś Michałowi Barklay i czy ci nigdy na myśl nie przyszło, że serce jego byłoby się mogło zwrócić napowrót do ciebie, gdyby był pozostał przy życiu?

— A odwrócić od swej młodej żony — dodał. — Tak, przebaczyłem mu. Odwiedziłem niedawno grób jego w Dornton i darowałem mu wszelkie urazy. — Lekkie pukanie do drzwi przerwało dalszą rozmowę i dźwięczny głosik zapytał z zewnątrz. — Czy konferencyi nie będzie nigdy końca? Percemu i mnie znudziło się już tak długie czekanie.

— Pójdź, Floro, jest tu mój krewny, Artur Barklay, którego z wami zapoznam.

Flora weszła, a rzuciwszy ciekawem okiem na Artura Barklay, klasnęła w dłonie i podbiegła ku niemu z radością.

— Co widzę? To mój szalony Anglik! — zawołała pół z płaczem, pół ze śmiechem.

— Nie poznajesz mię pan?

Popatrzył na nią z uwagą. — Tak jest, poznaję panią — rzekł poważnie.

— To mój stary przyjaciel — mówiła Flora zwracając się do obecnych — przed kilku tygodniami w Baden — Baden ocalił mi życie i nie chciał nawet przyjąć mego podziękowania.

— Nic mi o tem nie wspomniałaś — rzekł Walenty.

— Ani myślałam o tem — odpowiedziała śmiejąc się Flora. — Nikomu o tem nie wspomniałam z obawy, by mi mama nie wzbroniła konnej jazdy, lub ojciec nie kazał odtąd lokajowi jechać za mną. Gdyby nie ten pan, nie miałabym dzisiaj szczęścia znajdować się w waszem towarzystwie. — Zamilkła pozostawiając opowiadanie reszty Arturowi, ale ten milczał uparcie.

— Rzecz tak się miała — mówiła dalej. — Jadąc konno górzystą okolicą, strachnął się nagle mój wierzchowiec i szalonym pędem biegł prosto w przepaść. Mr. Barklay znajdujący się w pobliżu, spostrzegłszy groźne niebezpieczeństwo skoczył mi na ratunek, silną dłonią pochwycił konia za uzdę i powstrzymał na miejscu tuż nad brzegiem przepaści. Wyłajał mię porządnie używając przytem kilku dosadnich wyrażeń, odrzucił wszelkie podziękowanie, nie chciał mi nawet ręki uścisnąć, mówiąc, że nie warto mówić o tem. To obraziło moją dumę i odjechałam zagniewana.

— Była to tylko z mej strony drobna przysługa, każdy inny byłby ją pani wyświadczył — odrzekł Artur Barklay z całym spokojem. — Widziałem przykre położenie pani i przyszedłem jej w pomoc; z końmi zaś potrafię sobie bardzo dobrze poradzić. Nie chciałem, byś mi pani dziękowała, bom nic wielkiego nie zrobił.

— Ani nawet za to, żeś pan rękę złamał ocalając mnie? — zawołała Flora.

— Chociażbym nawet i kark był skręcił — odpowiedział w właściwy sobie lakoniczny sposób.

Flora spoglądała raz na niego, drugi raz na Helenę.

— Helena powiedziała mi, iż pan zamierzasz zamieszkać w Weddercombe — ozwała się znów po niejakiej chwili. — Ojciec cieszy się na pańskie sąsiedztwo i wkrótce będzie miał przyjemność złożyć panu wizytę.

— Szanowny ojciec pański wyświadczy mi przez to wielki zaszczyt — odpowiedział Artur Barklay — ale niezadługo przekona się, iż nieosobliwego zyskał we mnie sąsiada. Czem byłem w Baden, tem do dziś dnia pozostałem.

— Nie wierzę temu — zaprzeczyła żywo Flora.

— Nie dlatego chcę zamieszkać w Weddercombe, by spokojnie siedzieć na miejscu. Proszę, powiedz to pani ojcu i postaraj się odwieźć go od jego zamiaru.

— Baden należy już do przeszłości — rzekła Flora zwolna.

— Gdzie wszyscy wytykali palcem szalonego Anglika i ostrzegali przed nim swych przyjaciół — mruknął Artur Barklay.

— Gdzie ocaliłeś pan me życie.

— Zapomniałem już o tem — rzekł niechętnie i odwrócił się.

Na dole w salonie czekali na nich mrs. Merrick i Percy Andison. Przedstawiono im Artura Barklay, a on zachował się, jak człowiek dobrze wychowany. Helenę, która pragnęła szczerze, by Artur w nowem swem gnieździe pozyskał przyjaciół, widocznie to ucieszyło.

Percy Andison wdał się z nim od razu w swobodną i przyjacielską pogawędkę i Artur Barklay uczuł się mile dotkniętym tem życzliwem usposobieniem nowych swych przyjaciół. Kilkakrotnie wprawdzie brała go pokusa uciec niespostrzeżenie, lecz uznał, iżby to było z jego strony wielką niewdzięcznością za okazaną mu przychylność.

Raz, czy dwa nawet rzucił na Florę, której obecności pojąć nie mógł, ukradkowe spojrzenie, lecz miało to miejsce tylko wtedy, gdy był pewien, że nikt tego nie spostrzeże.

Wieczorem całe towarzystwo zgromadziło się w salonie, by się pożegnać. Helena i mrs. Merrick miały wraz z Walentym wracać napowrót do Londynu; kufry spakowano i wysłano już naprzód na stacyę, powóz oczekiwał na nich przed bramą. Z sir Charlem i lady Andison pożegnał się już był Walenty w Hernley, tylko Flora i Percy przyszli naumyślnie do Weddercombe, by się ze wszystkimi raz jeszcze pożegnać i życzyć im pomyślnej i szczęśliwej drogi.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Palmkrone i Palmstolz

wybierz, nabywając masło roślinne. Obydwa te ulubione fabrykaty **van den Bergh'a** zastępują masło naturalne zupełnie, a przytem są odeń daleko tańsze! Chociaż składają się wyłącznie z czystych tłuszczów roślinnych, to jednak dla nadzwyczaj wielkiego podobieństwa do masła pod względem wyglądu i jakości, muszą być prawnie oznaczone nazwą margaryny — co właśnie jest najlepszym poleceniem dla ich dobroci! Prosimy żądać wyraźnie **Palmkrone i Palmstolz.**

Do nabycia, zawsze wyborowej jakości, we wszystkich składach towarów kolonialnych i artykułów spożywczych. 64



Kup koło u

KASTORA

to się nie załamie.

Największy specyalny polski skład kół 69

na Poznań i całe Księstwo.

Warsztaty reparacyjne

wykonują wszystko na miejscu.

Adres:

Kastor Poznań-Posen

Wilhelmstr. 17.

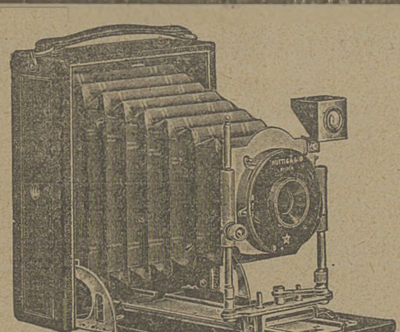
Magazyn aparatów i przyborów fotograficznych

K. Greger & Co.

Właść.: Kaźmierz Greger i Bogdan Pyszkowski

Poznań, ulica Wiktoryi 9.

TELEFON 2750.



Aparaty fotograficzne najnowszej konstrukcyi

w wielkim wyborze.

Przybory fotograficzne 71

jak: **płyty, filmy, papiery i t. d.**

Ciemnice do bezpłatnego użytku.



Kodaka maszyna do wywoływania film przy świetle dziennem.

Kto się chce przekonać **o dobroci**

mydła Regera

niech je **wypróbuje** na własnej osobie, a przekona się, że

mydło Regera

jest najlepszem tak do mycia jak i do prania. Mydło Regera jest łagodne i przyjemne w każdem użyciu w przeciwieństwie do niektórych **ostrych i szkodliwych** środków nowoczesnych.

Mydło Regera paczka funtowa **40 fen.** 62

Wdowiec, ojciec dwojga dzieci, liczący 37 lat, rzemieślnik, polak katol., posiadający cokolwiek majątku, poszukuje dla braku znajomości pań 87

towarzyszki życia.

Panny lub wdówki posiad. cokolwiek majątku zechcą łask swe oferty z dołączeniem fotografii, które zwrócone będą, przysłać pod lit. **O. S. 18 Postlagernd Berlin,** Postamt 33

Dyskrecya rzecz honoru, anonimów się nie uwzględnia.

Poszukuje od 1-go kwietnia 83

gospodynią

z pańską kuchnią i chowem drobiu obeznaną; pensya 300—360 marek. Zgłoszenia przyjmuje

Zarząd Majętności Popówko.

A. Szmytkowski

Telefon 17. **Pniewy (Pinne.)** Telefon 17.

Destylacya. Fabryka likworów i araków.

Specyalność:

Jubileuszówka, Jagodówka,

Gdańskie wódki,

Nalewka wiśniowa, Nalewka pomarańczowa, Nalewka śliwkowa.

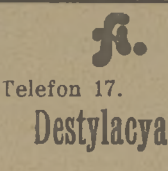
Premiowane złotymi medalami.

Nowość: 63

„Hetman", staropolski likier żołądkowy.

„Ukas", krystalizowana kmińkówka.

Skład prawdziwych araków, rumów, koniaków i handel win.



Firmy szklanne

głoski każdego rodzaju oraz **wszelkie napisy, reklamy i medale.**

Z. Antoniewicz, Poznań

Chwaliszewo 58. Telefon 2527.

Kosztorysy i szkice bezpłatnie. 073

Dlaczego wszystkie gosposie tak bardzo Blendę chwalą?

Bo wreszcie się przekonały, że Blenda zaoszczędza siły, pracę i pieniądze.

Tysiące gospodyń, które już od dwóch lat Blendą piorą, wiedzą teraz, bo czas je przekonał, że Blenda doprawdy bieliźnie nic nie szkodzi. — A zatem — przekonajcie się Szanowne Gosposie, żądajcie w każdym składzie kolonialnym i drogeryi **Blendę** paczkę funtową za 25 fen.

61 **Chem. Fabryka Blendy Wejherowo (Neustadt Wpr.)**

Rewerendy,

płaszcze, oraz wszelką inną garderobę znaną z dobrego kroju

poleca 347

Przewielebnemu Duchowieństwu

W. Frąckowiak, Poznań,

Plac Wilhelmowski 18.

Dom Przemysłowy.

Poznań, Rycerska ul. 15.

Zakład leczniczy dla chorych

na nerwy i na cierpienia przewodu pokarmowego (przełyku, żołądka, kiszek, wątroby) **włącznie chorób przetwarzania się materyi** (otyłości, choroby cukrowej, podagry, bladaczki etc.) w połączeniu **z zakładem wodoleczniczym. Kuracye dyetyczne. Kąpiele elektryczne z prądem zmiennym i faradycznym. — Masaż wibracyjny elektr. i ręczny.** [2

Kąpiele elektryczne świetlane.

Kąpiele wszelk. rodzaju. Gimnastyka szwedzka.

Dr. Zakrzewski. Dr. Panieński.

Saletrę chilijską, kajnit, tomasówkę, superfosfaty

jako też wszelkie inne

sztuczne nawozy

poleca po znanych tanich cenach

Centralna Drogerya

J. Czepczyński

Poznań. 437

Handel detaliczny ***Stary Rynek 8.***

Telefon 324.

Składy hurtowne ***ul. Południowa 3.***

Telefon 238.

Specyalna oferta!

Wszystkie towary polepszone po znanych tanich cenach.

Polecam specyalnie:

Kakao (gwar. czystość) funt 1 20, 1.60, 2.00, 2 40.
Proszek czekoladowy funt 60, 80, 1 00, 1.20.
Keksy maślanne funt 60, 1.00 1.20, 1 60.
Pralinki nadziewane funt 80, 1.00, 1.20, 1 60.
Pralinki warszawskie funt 2.00, 2 40, 3.00, 4.00.
Cukierki deserowe funt 60, 1.00, 1.20, 1.60, 2 00.
Czekolada łamana (czysta) funt 90 fen. i 1 20
Czekolada śmietankowa funt 1.40 1.60, 2.40.
Karmelki owocowe funt 40, 60, 80.
Karmelki owocowe nadziewane funt 1.00, 1.20
Karmelki piersiowe funt 60, 80, 1.00.
Sok malin. czysty funt 50 f.
Kawa Wiatraka funt 1.00, 1.10, 1.30, 1.50, 1.70, 1.90 i 2.10.

Stefan Prądzyński,

Poznań, Stary Rynek 59/60, wchód z ul. Wrocławskiej, Stary Rynek 91, wchód z ul. Wronieckiej i Chwaliszewo nr. 1 przy moście.

Pan **Józef Balcer** objął sprzedaż moich wyrobów na Księstwo Poznańskie i gwarantuje za sumienne i szybkie załatwienie wszelkich zamówień. Wysyłki na prowincyę uskuteczniamy z interesu głównego Stary Rynek 59/60. 356

! Od 6-ciu marek przesyłka franko !

Na Harmoniki — Skrzypce

i inne instrumenta udzielam do 1. 5. 10. rabatu 20% 1 maja wyjdzie nowy cennik i towar z r. 1909 musi być sprzedany. Prawdziwe skrzypce cygańskie dawniej 25 mk., teraz mk. 12,50 — harmonika N. 10 zamiast m. 16,25, teraz mk. 10,50 — trąbka N. 53 dawniej mk 5,30, teraz mk. 2,75 — para złotych pierścieni ślubnych 9 mk. — mocne koło model 1910, tylko 55 mk., — maszyna do szycia 5 lat gwarancyi tylko mk. 46,25. Katalogi gratis i franko. Tysiące różnych polskich płyt do gramofonów i aparata. Spis płyt franko. Wysyłam także na okaz próby materyi na suknie — pościel — wyprawy — cajgi — korty itd

Ktoby z otrzymanego towaru nie był zadowolony, może odesłać; ryzyki niema gdyż firma zatrudnia do ekspedycyi 30 ludzi. Adres:

Roman Tilgner, Pleszew.

KAZIMIERZ OSSOWSKI

INZ. I OBROŃCA PATENTOWY

PRZY CES. URZĘDZIE PATENTOWYM W BERLINIE Potsdamerstr. Nr. 3.

2

Klinika prywatna Dr. Pomorskiego

dla chorych na cierpienia chirurgiczne i ortopedyczne, dla chorych na cierpienia pęcherza i dla chorób kobiecych.

Poznań, Plac Piotra nr. 4

(Petriplatz) 208

TELEFON 893.

Karty wizytowe

od 1,50 mk. począwszy poleca

Drukarnia „Pracy“

Rycerska 38.

Kasa Związku Ziemian

przyjmuje

depozyta i drobne oszczędności

począwszy od 1 marki i płaci 310

Za rocznem wypowiedzeniem	5%
„ półrocznem „	4½%
„ kwartalnem „	4%
Na każdorazowe żądanie	3½%

Adres: **Poznań-Posen.**

plac Wilhelmowski 17, I

Telefon 1615.